Cena egzemplarza zagranicą zł 0·20

CENA EGZEMPLARZA 10 GR

Prenumerata miesięczna wraz z odnoszeniem do domu 2·50

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

KRAKOWSKI

DEMOKRACI CAŁEJ POLSKI ŁĄCZCIE SIĘ!!

KURIER PORANNY

Nr 106 105

NIEZALEŻNY ORGAN DEMOKRATYCZNY

Rok II

Adres redakcji i administracji: Kraków, Mikołajska 3. Tel. 164-20
Redaktor przyjmuje w środy od godz. 18—19. Sekretarz redakcji codziennie od godz. 16—18, Redaktor naczelny: B. Rembowski.

Kraków, wtorek 19 kwietnia 1938 r.

Siła bez wolności i sprawiedliwości jest tylko gwałtem i tyranią, sprawiedliwość i wolność bez siły — to czcza gadanina i dziecińѕtwo.

JÓZEF PIŁSUDSKI



Czytelnikom i Prenumeratorom, Przyjaciołom i Sympatykom

życzymy „Wesołych Świąt"

Sąd Okręgowy w Krakowie Wydział IV Karny Dnia 15/3 1938 Sygn. IV Pr 114/38.

Sąd Okręgowy w Krakowie Wydział IV Karny na posiedzeniu niejawnym w dniu dzisiejszym po wysłuchaniu wniosku Prokuratora Sądu Okręgowego w Krakowie wydał następujące postanowienie: I) Zatwierdza się po myśli §§ 489 493 austr. proc. kar. zarządzoną i wykonaną przez Starostwo Grodzkie w Krakowie dnia 7 marca 1938 konfiskatę czasopisma „Krakowski Kurier Poranny" Nr. 66 z daty 8. 3. 1938 z powodu treści: 1) artykułu zamieszczonego na stronie 1 p. t. „Zjazd Zrzeszenia Sędziów i Prokuratorów Rzeplitej Polskiej przeciw polityce min. Grabowskiego" w całości zawierającego znamiona wyst. z art. 170 kk. II) Zakazuje się dalszego rozszerzania skonfiskowanej treści powyższego artykułu, a zakaz ten ma być ogłoszony w przepisanej formie w najbliższym numerze czasopisma „Krakowski Kurier Poranny" i w Dzienniku Urzędowym. III) Cały nakład skonfiskowanego druku ma być zniszczony.

Podpis nieczytelny

Sąd Okręgowy w Krakowie Wydział IV Karny Dnia 7/4 1938 Sygn IV Pr 146/38

Sąd Okręgowy w Krakowie Wydział IV Karny na posiedzeniu niejawnym w dniu dzisiejszym po wysłuchaniu wniosku Prokuratora Sąd Okręgowy w Krakowie wydał następujące postanowienie: I) Zatwierdza się po myśli §§ 489 493 austr. proc. karn. zarządzoną i wykonaną przez Starostwo Grodzkie w Krakowie dnia 30 marca 1938 konfiskatę czasopisma „Krakowski Kurier Wieczorny" Nr. 88 z daty 30/3 1938 z powodu treści: 1) artykułu zamieszczonego na stronie 2 p. t. „Dziwne zakończenie Sesji" w ustępie od słów „Podczas gdy przebieg" do słów „a poczęści i sanacyjnej" i od słów „Narazie finał sesji" do słów „Sejm będzie inny" zawierającego znamiona wyst. z art. 170 127 kk. — II) Zakazuje się dalszego rozszerzania skonfiskowanej treści powyższego artykułu, a zakaz ten ma być ogłoszony w przepisanej formie w najbliższym numerze czasopisma: „Krakowski Kurier Wieczorny" i w Dzienniku Urzędowym. — III) Cały nakład skonfiskowanego druku ma być zniszczony.

Albo demokracja albo faszyzm

Polska przeżywa ciężki okres. Stosunki polityczne tak się układają, że coraz bardziej zarysowują się kontury dwóch zwalczających się obozów. Trudno i darmo. Taki już jest faktyczny układ sił, taki istotnie nastąpił podział. Po jednej stronie mamy stronnictwa i ugrupowania, które stoją na gruncie zasad demokratycznych a po drugiej partie, czy warstwy hołdujące obcym wzorom hitlerowsko-faszystowskim. Trzeciego partnera niema. Można wmawiać w opinię, że jest coś pośredniego. W rzeczy samej atoli tak nie jest. Ci co się wahają, albo co czekają na dogodną chwilę, by się przerzucić na tę czy tamtą stronę barykady, nie wchodzą w grę. To jest ten lotny piasek, który w pewnym momencie przylgnie do tej lub tamtej siły, albo który zostanie w ogniu walki doszczętnie zmielony.

Rozglądnijmy się dokoła siebie i zestawmy te siły.

Zaczniemy od sił destrukcyjnych. Trzonem, a właściwie jedyną partią która sieje anarchię jest Stronnictwo Narodowe i jego odpryski, czy odgałęzienia. Nie będziemy powtarzać tego, co już kilkakrotnie na tym miejscu pisaliśmy. Historia kilkunastu lat wyryła piętno szkodliwej działalności na obliczu tak zwanego obozu „narodowego". To są rzeczy znane i dokumentami udowodnione.

Atoli ukoronowaniem tej obłokańczo nieodpowiedzialnej działalności Stronictwa Narodowego są antecedencje związane z tak znanym „marszem na Warszawę", jaki przygotowali endecy w dniach 18 i 19 marca bieżącego roku.

Ten szaleńczy krok został już należycie przez nas napiętnowany. Ale by tym jaskrawiej unaocznić szkodliwość „patriotycznego" wyczynu stronnictwa, mającego odwagę mienić się „narodowym", pozwolimy sobie zacytować, co o tym „marszu" pisze organ ozonowy, redagowany przez byłych członków „Stronnictwa Narodowego".

Otóż warszawski „Kurier Poranny" pisze:

Cała ta historia mogłaby być tematem do farsy, gdyby nie kryły się w niej objawy charakteryzujące wzorowo prawdziwą, a zarazem smutną rolę Str. Narodowego w społeczeństwie.

Str. Narodowe w dniach ogólnego skupienia i powagi usiłowało siać anarchię i wywoływać zamieszki, przy czym — stwierdzić to należy — nie zawahało się nadużywać imienia Naczelnego Wodza, wmawiając w obałamuconych przez partię ludzi, że Wódz Naczelny wzywa ich do stolicy.

Jeżeli się zważy, że w pamiętnych dniach koleje znajdowały się w stanie pogotowia, to próba wywołania zamętu w ruchu kolejowym była w tej sytuacji aktem wręcz antypaństwowym, za który w okresie wojny odpowiada się na zasadzie najostrzejszych przepisów karnych na równi ze zdradą i dywersją w działaniach wojennych. Zaiste podziwiać należy partię, która nie tylko dokonuje tego rodzaju zbrodni, ale jeszcze się nią chwali w prasie. Swiadczy to o zaniku prymitywnego u niej zmysłu państwowego.

Żadna z partii — należy to z uznaniem stwierdzić — nie zainicjowała tak szaleńczego pomysłu, aby w groźnym momencie zajmować pociągi tłumem i prowadzić go w bliżej nieokreślonych celach na Warszawę. Dokonało tego tylko Str. Narodowe, które ośmiela się uzasadniać tę dywersję przy pomocy patriotycznych motywów chociaż mamy do czynienia z pospolitą zbrodnią przeciw interesom państwa. Tylko komuniści mogliby wpaść

na podobny pomysł, aby na szlaku przez które przejeżdżają transporty wojskowe wywoływać zamieszanie w ruchu kolejowym. Niestety w roli tej wystąpiło Str. Narodowe. I to jest godna najsurowszego napiętnowania.

Jeżeli jednak partia sądzi, że będzie mogła igrac z ogniem przy pomocy tego typu metod, to się myli. Polska nie jest Meksykiem ani dzikim krajem, w którym akcja wymierzona w interesy państwowe mogłaby być tolerowana. Ani społeczeństwo ani nikt odpowiedzialny za całość interesów Polski nie zniesie w przyszłości zbrodniczych wybryków warcholstwa którego nie powstrzymała od akcji nawet powaga chwili i obowiązek solidarności w niezapomnianych dniach 18 i 19 marca.

Działalność Stronnictwa Narodowego określona została krótko mianem zdrady i pospolitej zbrodni przeciw interesom państwa!

Tylko komuniści — zdaniem organu ozonowego — mogliby wpaść na podobny pomysł...

Już po raz drugi słyszymy z kół zbliżonych do rządu o zrównaniu obozu prawicowego z komunizmem.

Raz uczynił to urzędujący minister spraw wewnętrznych z trybuny sejmowej, a teraz to samo pisze organ, który jest tubą rządu. A któż lepiej może znać endeków jak eksendecy, kto lepsze o mistrzach wydać świadectwo, jak właśni uczniowie? I pocóż to określać wszystko co nie jest hitlerowskim, czy faszystowskim, przezwiskiem „żydokomuna", gdy autorytatywne czynniki upoważniają do bardziej wnikliwej i odpowiadającej istocie rzeczy, nomenklatury: "endo-komuna".

„Marszem na Warszawę" chciano nie tylko rozbijać głowy Żydom, niszcząc ich mienie, ale, idąc wzorem wałaszki Doboszyńskiego pójść dalej i wyżej: po władzę.

Oni, naśladowcy obcych wzorów, oni, nie wahający się przed czynami, które pismo rządowe skwalifikowało jako zdradę, oni, uciekinierzy z pod bram Warszawy, gdy Naród jej wrót bronił, oni, wychowawcy Dmowskiego, nieubłaganego wroga Marszałka Piłsudskiego, oni chcą w Polsce rządów!

To jest obóz faszystowski, który pragnie Polski nie dla Narodu, ale dla siebie, dla rządów przeciwludowych, obóz, który ongiś zgubił Polskę i dzisiaj do jej zguby prowadzi. Po drugiej stronie stoją zjednoczone siły demokracji. Wszystko, co nie jest zarażone bakcylem endooenerowskim, co nie ma wspólnego z komunistami, wszystko inne stanowi potężny bastion demokracji polskiej.

Nie chcemy się powtarzać. Bastionem tym to: Stronnictwo Ludowe, P. P. S., Związki robotnicze i pracownicze, kluby demokratyczne i te warstwy, które może organizacyjnie nie należą do żadnych z wymienionych ugrupowań, ale które sercem i duchem są przy demokracji. Nie miejsce teraz na analizę różnic programowych tych Stronnictw. Nie chodzi o to, czy pomiędzy P. P. S. a Stronnictwem Ludowym jest porozumienie w znaczeniu „symbiozy" czy też ścisłego współdziałania na zasadzie zachowania samodzielności, chodzi o rzecz stokroć ważniejszą: wymienione ugrupowania poprzysięgły wierność dla zasad demokratycznych, dla walki z niebezpieczeństwem totalizmu, która Polsce pod rozmaitymi postaciami zagraża.

Dzisiaj toczy się bój o nowe oblicze Polski. Totalizm rozmaitemi furtkami wkracza do życia polskiego. Stopniowo zdaje się zdobywac pozycje. Obóz demokratyczny nie może być obojętnym na to, co się dzieje i co jeszcze stać się może.

Czynniki odpowiedzialne za losy państwa zdają sobie z tego sprawę. To też z prawdziwą ulgą i zadowoleniem przyjęto orędzie p. Prezydenta R. P., który wypowiedział się przeciwko totalizmowi i przeciwko próbom anarchizowania życia polskiego. Tym samym został wydany wyrok na knowanie endeckie, które w kilkanaście dni po wypowiedziach p. Prezydenta R. P., miały swym „marszem na Warszawę" dowieść słuszności potępienia metod „twórczej" i „patriotycznej" działalności obozu prawicowego w Polsce.

Tylko obóz demokratyczny, którego szczery i ofiarny patriotyzm niejednokrotnie złożył swój egzamin historyczny, może dać podwaliny pod nawę państwową. „Koniecznie dla przyszłości państwa polskiego zjednoczenie narodu polskiego, aby było skuteczne i dało państwu siłę, oprzeć się musi na najszerszych warstwach pracowniczych, na masach ludu polskiego". Tak przemówił przed kilku dniami na Śląsku szef O. Z. N. gen Skwarczyński.

Słuszne słowa, słowa którym obóz demokratyczny nie odmawiał racji, które od pierwszej chwili głosi. Ale rozważmy spokojnie i rzeczowo. Któż posiada największy wpływ na te masy ludowe i pracownicze?

Endecja, komuna, czy inne stronnictwa?

Nic podobnego!

Chłopi znajdują się w szeregach Stronnictwa Ludowego, robotnicy w 95 proc. w P. P. S., inteligencja pracująca zgrupowana jest w organizacjach, które na ostatnim Kongresie Pracowniczym, opowiedziały się za ścisłą współpracą z chłopami i robotnikami. Wolne zawody, mieszczaństwo, są przeważnie zorientowane ku demokracji.

Więc?

Nie trzeba rozbijać tego co jest (zresztą obóz demokratyczny rozbić się nie pozwoli) ale na zasadzie obecnego stanu rzeczy, licząc się rzeczywistym układem sił, powołać te masy chłopskie i pracownicze do współpracy, by dały państwu siłę, potrzebną do utrwalenia jego bytu i dźwignięcia je naprawdę wzwyż.

Te masy tęsknią do Polski wolnej, ludowej, do Polski opartej na podwalinach sił demokratycznych, zdolnych w każdej chwili postawić czoło wszelkim niebezpieczeństwom wewnętrznym i zewnętrznym.

Trzeba tylko tym masom dać to, czego w interesie państwa żądają, czego słusznie nie przestają się upominać.

Ma rację p. gen. Skwarczyński, gdy mówi:

„Widzieliśmy przecież na na przykładzie naszej ostatniej sprawy międzynarodowej, w konflikcie z Litwą, że tu „obrona narodowa" broniła też honoru i godności Państwa".

Ale mała poprawka: podczas gdy chłop, robotnik i pracownik umysłowy, którzy umiłowali pojęcie wolności i demokracji, cicho, bez krzyku i rwetesu, oddali się do dyspozycji Wodza Naczelnego, to panowie z pod znaku prawicy, obozu faszystowskiego z okrzykiem: niech żyje Wódz Naczelny maszerowali na Warszawę..., by w tym historycznym dla Rzeczypospolitej momencie, torować sobie przy pomocy łomów i pałek drogę do władzy! Lud polski, robotnik chcą dojść do władzy. To prawda!

Ale nie przy pomocy marszów na Myślenice i Warszawę, lecz w w drodze legalnej, w drodze prawa. Wzmiany ordynacji wyborczej, w drodze nowych, demokratycznych, uczciwych wyborów. Obóz demokratyczny chce władzy, współwłodarzenia Polską, dla Polski. Nie chce wysługiwać się obcym agenturom.

Albo demokracja, albo faszyzm.

Polska, ta prawdziwa Polska szaraków, obrońców jej granic, wybrała już dawno: wybrała demokrację, wybrała wolność, równość i braterstwo. Wybrała pokój i tęsknotę do dobrobytu, do sprawiedliwości społecznej!

Aby ci, w rękach których spoczywa ciężar odpowiedzialności za państwo, umieli to dobrze ocenić i zważyć.

Aby słowom, przyznającym warstwom pracowniczym i masom ludowym prawo do stanowienia siły dla państwa, towarzyszyła żywa treść tych praw i przywilejów, które się im słusznie, w interesie potęgi i trwałości państwa, należą.

Aby Polska stała się domeną demokracji, wzorowanej na państwach zachodnich.

Ster.

Paweł Hulka-Laskowski

W PERSPEKTYWIE WIEKÓW

Czechosłowacja jest na ręku. Pozostawiona samej sobie podzieli los tych ludów słowiańskich, które zostały wchłonięte przez Niemcy i dzisiaj w postaci zaborczego prusactwa sięgają po ziemie „odwiecznie niemieckie". Kto spojrzy na mapę dzisiejszej Europy środkowej, a jest dość uczciwy wobec samego siebie, ten zrozumie wymowę tej mapy bez jakichkolwiek komentrzy. Rzućmy okiem na wschodnią połać Niemiec mniej więcej od Rugii po Lipsk i Kamienicę (Chemnitz). Wszystkie ważniejsze nazwy miejscowości są słowiańskie: Szczecin, Cociebuż, Zgorzelice, Wrocław... Niemiecka fonetyzacja tych miejscowości jest tak nieudolna, że nie trzeba być filologiem, aby zrozumieć, że Stettin, Guben, Cottbus, Leipzig, Breslau, Görlitz itd. nie znaczą po niemiecku nic i nie mają etymologii niemieckiej.

Tam mieszkali Słowianie i nie zostali wyrżnięci w pień, ale wchłonięci przez bezwzględną i zdecydowaną mniejszość germańską, która umiała wykorzystać odwieczną i powieczną głupotę i swarliwość słowiańską. Niemcy nie mnożą się biologicznie, ale politycznie. Już nie wiemy jak to tam było i nie interesujemy się wcale losem tych Słowian, którym narzucono inną mowę i inny obyczaj, a którzy dzisiaj są groźni dla nas jako Niemcy. Jakaś daleka i mglista legenda mówi nam, że Słowianie się kłócili, zdradzali wzajemnie i padali ofiarą mądrzejszych od siebie Niemców. Ale nie przyjmujemy tego do wiadomości pouczającej.

Nieco wyraźniej zarysowują się dzieje Śląska. W wieku XIV Śląsk był częścią Polski. Przeszedłszy pod panowanie czeskie, stał się rychło łupem germaństwa. Jeszcze na początku zeszłego wieku Bandtkie widział w okolicach Wrocławia dziesiątki tysiecy ludu wiejskiego mówiącego po polsku. Te dziesiątki tysięcy już zniknęły. I cały ten klin wrzynający się śmiertelnym ostrzem między ziemie czeskie i polskie był niegdyś zaludniony przez braci naszych Polaków, którzy dzisiaj są Niemcami i wrogami naszymi. Wspomnijmy tu jeszcze o setkach tysięcy polskich Mazurów w Prusach Wschodnich i poświećmy im choćby dwie minuty milczenia przy czytaniu książki Wańkowicza „Na tropach Smętka". Ta ludność polska nietylko znika dla nas, ale organizuje się przeciwko nam. Śląsk i Prusy Wschodnie to dwa ramiona wysunięte do śmiertelnego uścisku, typowe niemieckie „okrążanie".

To wszystko przychodzi na myśl, gdy się czyta artykuł uczonego francuskiego, Barthélemy, w „Temps", że Francja nie ma najmniejszego powodu do występowania w obronie Czechosłowacji jeśli Niemcy sięgają po Sudety. Nie, żadna Francja i nigdy nie miewa obowiązku bronienia jakiejkolwiek Czechosłowacji, ale ma obowiązek bronienia siebie. Kto zagarnie Pilzno, żelazo czeskie i czeski arsenał, zagarnie całe Czechy. Stary Briand swoim naiwnym uporem i obstawaniem przy pakcie czterech zmusił Polskę do porozumienia się z Niemcami, bo także nie uważał, aby Francja miała obowiązek bicia się o jakieś tam korytarze polskie. Ile Francja straciła na tym śmiesznym zysku różnych świstków papieru, po każe się może niedługo. Ile straciła Anglia, pokaże się również niedługo.

Gdy Liga Narodów czyniła ostatni wysiłek, aby okiełzać dziką siłę nie uznającą prawa, Laval ze skóry wyłaził, aby odwieść Anglię od jakiejś akcji przeciwko Włochom i Liga Narodów wtedy właśnie dokonała niesławnie swego żywota. Tchórzliwy utylitaryzm Tartarinów z Tarasconu przekreślił Bayardów, Tureniuszów i Fochów. Energia, która nie spotkała na swej drodze innej energii, wysunęła ramię głęboko na półwysep Pirenejski, nad którym wypisało krzyż potworne błazeństwo nieinterwencji. I politycy anglosascy uważają, że łatwiej będzie pokonać Niemców, gdy ci opanują cały kontynent, niż dzisiaj, gdy cześć znaczna tego kontynentu byłaby gotowa walczyć o wolność ducha, o kulturę narodów wolnych. Kto jest dobrowolnie ślepy, temu pomóc nie można.

Likwidacja Czechosłowacji pozostawionej samej sobie, to rzecz jasna dla każdego, kto umie spojrzeć z perspektywy tych wieków i tych obszarów, które dzisiaj tworzyłyby światową Rzeszę słowiańską. Barthélemy z właściwą Francuzom krótkowzrocznością może tego nie rozumieć, ale gdy cały szereg pism polskich z jakimś szaleńczym entuzjazmem powtarza ten artykuł, ciesząc się, że Czechosłowacja będzie pozostawiona samej sobie gdy zostanie zaatakowana przez Niemcy, to budzi to uczucie głębokiego smutku. Te Sudety to ziemie odwiecznie słowiańskie, skolonizowane przez napływowych Niemców-kolonistów względnie niedawno, bo po wojnie trzydziestoletniej gdy władcy wiedeńscy rozdali 3/4 królestwa czeskiego swoim kreaturom. Obezwładniony, naród słowiański musiał patrzeć jak obcy przybysz zagarnia jego dziedzictwo, a dzisiaj Francuz Barthélemy przy burzliwych oklaskach prasy polskiej powiada, że ze zwycięstwo silniejszych nad słabszymi Niemcom należy się premia. Zapomina ten uczony francuski, że Niemcy po zagarnięciu Sudetów armaty Skody wyprodukowane w Pilznie zwrócą na Strassburg, na Alzację i Lotaryngię, na te zagłębia francuskie, które są po drodze ku wybrzeżu Kanału i na ich drodze ku panowaniu nad światem.

Byłoby rzeczą niewypowiedzianie tragiczną, gdyby te rozradowane pisma polskie zrozumieć miały dopiero po niewczasie, że nie żaden świstek papieru, ale realna siła gwarantuje wolność narodów. Dziewięćdziesiąt milionów Niemców przy swej energii i organizacji to los i przeznaczenie narodów sąsiednich. Łudzić się nie wolno. Już dzisiaj ludzie umiejący spojrzeć nieco dalej w przyszłość, widzą, co będzie i z rezygnacją mówią, że w gruncie rzeczy nic się nie zmieni gdy cała Europa będzie mówiła po niemiecku. Ta bierność, która dzisiaj chce uniknąć heroicznego wysiłku i nie rozumie wymowy wieków, nie zasługuje na nic lepszego jak na jarzmo. To jarzmo będzie zrazu luźne i będzie miało postać wspólnoty (czytaj zależności) gospodarczej, a potem przyjdą jakieś plebiscyty i tłum, który dziś woła: Hosanna, będzie wołał jutro: Ukrzyżuj! Od tego jest tłum.

Trzeba popatrzeć uważnie na mapę połowy Niemiec od wschodu, wczytać się w nazwy miejscowości, pomyśleć o przypieczętowanym na wieki losie Śląska i Prus Wschodnich, a potem wsłuchać się w te szalejące artykuły, które są sui generis plebiscytem ludzi ślepych i głuchych wobec sygnałów ostrzegawczych historii. Niemcy to walka z Rzymem, to walka cesarstwa z papiestwem, to reformacja jako dalszy ciąg walki z Rzymem. Niemcy to walka z chrześcijaństwem i likwidacja Słowiańszczyzny przy czynnej i skwapliwej pomocy tejże Słowiańszczyzny. Niemieckie słowo „Kulturdünger" znaczy dosłownie pod kulturę. Ale na co zdała nam się etymologia i słownikarstwo? **Quem deus perdere vult prius dementat.** Czy to będzie Tartarin de Tarascon, czy imć pan Zagłoba herbu Wczele, który z taką łatwością dysponuje Niderlandami.

—O—

„albo-albo"

Tygodnik literacko-społeczny.

Już ukazał się numer 7 (9) tygodnika literacko-społecznego „Albo-Albo" i zawiera następujące artykuły:

Maksymilian Boruchowicz — W przededniu Jubileuszu i w rocznicę „sprawy" St. Brzozowskiego. Irena Sobolówna — Człowiek i ziemia w jarzmie. Jerzy Braun — Bo wieczną jest sama wolność. Leon Louric — Zadania literatury nowego humanizmu. Andrzej Pokorski — Prowincjonalny działacz. Edward Boyé — „Kto mówi Hiszpania — mówi wszystko". Ignacy Fik — koniec epoki. Maria Bruzda — Białe cienie na białym lądzie. C. S. — Spowiedź Andre Gide'a. Pozatem w numerze Brzozowski pozostał pisarzem aktualnym. W prasie literackiej. Na marginesie i Uwagi.

Redakcja Kraków — Plac Zgody — Albo-Albo. Wszędzie do nabycia.

—oOo—

Eugeniusz Bryliński

O pięciu grzechach głównych społeczeństwa

Z iście niemiecką systematycznością uszeregował i numerami nawet zaopatrzył „wady" polskiego społeczeństwa, autor czołowego artykułu w ozonowej „Gazecie Polskiej", zatytułowanego obiecująco „Nowy nacjonalizm". Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć — 5 podstawowych wad posiada nasze społeczeństwo, tym straszniejszych, że stanowią one — zdaniem autora — poważną przeszkodę dla... podciągnięcia wzwyż Polski.

Ano przypatrzmy się tym pięciu grzechom głównym narodu polskiego — pomijając na razie oklepane objaśnienia pokaźnej części omawianego artykułu o — naturalnie! — bankructwie demokracji i nadchodzącej erze „państwa władczego" i „nowego nacjonalizmu".

Więc pokolei: „Wewnętrznie opozycyjny stosunek psychiki polskiej do Państwa, przeniesiony atawistycznie z wrogiej podstawy narodu polskiego wobec państwa zaborczego".

Doprawdy, trzebaby się albo bardzo oburzyć, albo poprostu wzruszyć ramionami, nie traktując zarzutu tego poważnie! Bo wobec kogo go wysunięto? Wobec społeczeństwa. które pokoleniami wstecz, aż po **starsze pokolenie** współczesne, krwią swoją i życiem pieczętowało **walkę o własną, niepodległą państwowość.** Wobec społeczeństwa, które dziś gotowe jest. jak jeden mąż przyciąć palców napastnikowi, któryby się ośmielił jego **państwowej niepodległości zagrozić.** Wobec społeczeństwa które. dążąc do zdobycia bezpośredniego wpływu na ster państwa, czyni to z najgłębszej troski **o jego losy, o jego dobro, o jego wszechstronny rozwój wewnętrzny i wprost znaczenia na zewnątrz.**

I ta sztuczna genealogia! „Atawistyczne przeniesienie" wrogiego stosunku do **zaborców**, na stosunek do **swojego** państwa! Nic bardziej, jak ten, co najmniej dziwny wywód, nie mogło wykazać jak **obcym** duchowi naszego narodu, jak odległym od zrozumienia źródeł i głębi stosunku społeczństwa naszego do ojczyzny jest autor, a raczej nurt ideowy, który autor reprezentuje.

Trudno tedy opędzić się podejrzeniu, że autor utożsamia ugrupowanie do którego należy, z państwem i nastroje społeczeństwa — pod tym kątem widzenia — nazywa się opozycyjnymi wobec państwa". „Państwo to ja" — owszem, to było kiedyś, ale epoka absolutyzmu bezpowrotnie minęła, a dziś na widownię historyczną występują świadomie inne siły państwowe — świat pracy.

Czytajmy dalej: „Kompleks niższości, który każe Polakowi widzieć wszystko dodał nie poza granicami Państwa, tego zaś co pozytywnym w Polsce niedostrzegać, albo poniżać i pomniejszać".

Najbardziej pozytywnym czynnikiem naszego kraju, jego rdzeniem. solą jego ziemi jest lud. Wierny w miłości dla swej ojczyzny, wielki i wspaniały w godzinach porywu i czynu, dumny w świadomym poczuciu swej obywatelskiej wartości lud polski, jest chlubą i najbardziej pozytywną wartością Polski. A przecież właśnie na łamach „Gazety Polskiej" czytamy, niemal dzień w dzień, wywody o „niższości" naszego ludu, o konieczności wzięcia go w karby", o „jednolitej woli", którą musi on być „kierowany". Szereg publicystów rozwija tu całą ideologię „poniżenia i pomniejszania" wartości naszego społeczeństwa, usiłuje mu zarzucić i wmówić kompleks niższości, byle „udowodnić", że nie jest ono zdolne do stanowienia o swym losie.

I z drugiej strony: cała ta „ideologia pomniejszania i poniżania" wartości społeczeństwa, ideologie „karbów" i „jednolitej woli", czyż nie jest żywą kopią, „fikcją" — jak przyznała niedawno sama „Gazeta Polska" — dobrze nam znanych i tak obcych naszemu duchowi, wzorów zagranicznych?

Brnijmy jednak w „litanii naszych grzechów w/g „Gazety Polskiej": „3 Panowanie... słowa nad działaniem, frazeologii i werbalizmu nad praktykowaniem i realizowaniem".

Tą wadę znalazł snać autor w społeczeństwie na swoją pocieche. Ale słowo i frazes do czasu jeno spełniają swe „uwodzicielskie" zadanie. Na własnej skórze nauczyło się społeczeństwo odróżniać plewę słów i frazesów od ziarna realnych doznań. „Praktykowanie" najwyraźniej zaczyna w społeczeństwie brać górę. Czyż trzeba lepszych na to dowodów, jak choćby rezultaty, z górą rocznej akcji werbunkowej kół bliskich „Gazecie Polskiej"?

Dalej! „4... przewaga pierwiastka personalnego nad rzeczowym. Wynika stąd tak dobrze znany jednostkowy czy grupowy monopol na przywilej zbawienia Polski... „Ależ—kto ten zarzut i wobec kogo wysuwa?! Toż to pisze przedstawiciel grupy, która.... **ale nie,** nie kończmy tego zdania. Zbyt oczywiste to, by tracić słowa.

Społeczeństwo zaś nie rości sobie pretensji do „grupowanego monopolu na przywilej". Społeczeństwo domaga się jedynie swego obywatelskiego, ogólnospołecznego wpływania na losy swoje i swej ojczyzny. Domaga się demokratycznego poszanowania nie woli grupy jednostki, ale woli większości społeczeństwa.

I grzech ostatni, w myśl wywodów „Gazety Polskiej". „5... cecha anarchicznoci polskiej psychiki, dziedzictwo tego, co tradycja nasza nazywa polską wolnością, sobie państwem... liberum veto".

Sobie państwo? To cecha, nie społeczeństwa polskiego, ale jego „górnych dziesięciu tysięcy". Liberum veto? To zaprzeczenie demokracji to jednostkowa, anarchiczna swoboda paraliżowania działań większości społeczeństwa. Anarchiczność? Wiemy, jakie to grupy młodzieżowe, sieją dziś w Polsce anarchię i wiemy, bo nikt tego nie kryje, czyją cieszą się sympatią.

Pełna demokracja, silna zaufaniem i poparciem obywateli, to miecz **na** sobie państwo, anarchiczność i liberum veto.

* * *

Do czegóż potrzebne są autorom te wymyślne (i wymyślone) „grzechy" naszego społeczeństwa, to pytanie musi sobie zadać czytelnik, który zaobserwował iście „skargowska" kampanię, jaką od jakiegoś czasu pod adresem społeczeństwa prowadzi „Gazeta Polska". Czyż nie po to — trudno nie dojść do takiej konkluzji — by usprawiedliwiać precyzowanie programu najgłębiej niezgodnego i sprzecznego z jasną i wielokrotnie wyrażaną wolę społeczeństwa?

Ale cóż — najgorliwsza i najbardziej kaznodziejska fantazja w gromieniu „grzechów" społeczeństwa nie potrafi złowić zwolenników z pośród gromionych. Nic tu nie zrobi i niemiecka systematyka w układzie społecznych grzechów — łowy zawiodą.

—oOo—

Wszystko już było...

Ani zwykły obywatel, tem mniej zawodowy polityk nie może zamknąć oczu na to, co wokoło nich na świecie się dzieje. Niema co, jak struś chować głowę w piasek. lecz trzeba i innym jasno i otwarcie powiedzieć że faszyzm — w różnych postaciach i maściach — tryumfuje, że demokracja przed nim się chowa, ułatwiając mu sukcesy.

Czy to będzie oryginalny faszyzm marki włoskiej, czy hitlerowski „made in Germania", czy będzie to naśladownictwo rumuńskie albo węgierskie czy nawet brazylijskie — wszędzie faszyzm — pod swej czy zakonspirowaną nazwą — postepuje naprzód, zdobywając coraz nowe kraje.

Przypomnijmy sobie, że przed marszem faszystowskim na Rzym w r. 1922 Europa nie zaznała czynnego politycznie faszyzmu. A dziś? Policzmy trochę kraje europejskie, w których rządzi faszyzm otwarcie czy pod maską. A więc obok Włoch mamy Niemcy, dalej wszystkie prawie kraje bałkańskie. na północy Łotwa, na dalekim zachodzie Portugalia — chyba dość jak na 16 lat, kiedy Mussolini zrobił początek.

A zapowiadał się ten początek bardzo skromnie. Mussolini zapewniał na prawo i na lewo, że faszyzm nie jest artykułem na eksport, że często specyficzny twór włoski, jak np. makkaroni są specyficzną potrawą włoską. A jednak nie tylko znalazł naśladowców, ale nawet pod pewnymi względami prześcignięty — Hitler pokazal, że on to lepiej potrafi.

Ludzie prości, którzy jeszcze wierzą w papieży i przysięgi, zachodzą w głowę, jak to mogło się stać, że Europa milczała na to wszystko, co w jej oczach jej prawami i zdobyczami się wyrabiało. Jest niemieckie powiedzenie że traktat wersalski, to kawalek papieru, który można podrzeć — to było nietylko obrazowo użyte ale dziesięciokrotnie i praktycznie zastoswane. Ludzie się dziwili, że wszelkie demokracje zachodnie, którym zawdzięcza się zwycięstwo wojny światowej, że te demokracje, obojętnie patrzały, jak oswobodzone wysiłkiem kraje coraz bardziej oddalały się, od demokracji jak naprzykład taka Jugosławia stała się takim samym więzieniem dla pewnej części własnego narodu. jakim były Austro-Węgry. Ludzie dziwili się, że pozwolono bez słowa protestu wdeptać w błoto niemiecką republikę, która starała się uczciwie spełniać przyjete zobowiązania. Dziwiono się, aż — przestano. Ostatni cios temu zreszta nieprawdopodobnemu dziwieniu sie zadała Anglia, która nietylko nieruszyła palcem w obronie swych praw, ale przeciwnie — staje się protektorka i pomocnicą faszyzmu, faktujacym robiąc go równorzędnym partnerem, popierając i sankcjonując jego rozbujniczą politykę. W ten sposób pozwolono zatriumfować nietylko chamskim metodą, ale i chamstwu jako takiemu.

Możnaby doprawdy popaść w czarną melancholię, gdyby nie analogie historyczne. Wszystko już było, powiedział rabi Akiba, — był i faszyzm był totalizm oczywiście zastosowanych do epoki formach. Czym były Austria i Prusy przed 1848? Czym była Francja Napoleona III.? Czym była Rosja carska do r. 1917? Wszak to są klasyczne wzory absolutyzmu, ignorowania ludzi. władzy jednostek nad milionami. Różnica polega na tym że taki Franciszek I. czy Mikołaj I. mianował się „ojcem narodu". podczas gdy Hitler i Mussolini każą się nazywać „wodzami". Słowa inne ale esencja ta sama.

Tamte państwa z faszyzmem i absolutyzmem upadły. Stąd — sursum corda: i obecny faszym nie jest wieczny. Naród jest takim samym organizmem zbiorowym jak człowiek organizmem indywidualnym. Człowiek przebywa ciężkie nieraz choroby, ale jeśli w założeniu swym jest zdrów, przemoże chorobę. To samo odnosi się do ludów. Zdrowe narody przezwyciężą faszyzm i pozostanie po nim tylko niesławna pamięć, jak skadinad rozsądni ludzie dawali się brać na komedie i frazesy, które zamieniały się w dynamit rozsadzający cały świat.

L

—oOo—

Sułtan Jahoru a p. William Wilson

Prasa angielska z żywym zainteresowaniem śledziła ostatnio dzieje miłości jednego z najbogatszych książąt hinduskich. sułtana Jahoru. Przed niespełna 7 laty wielką sensację wzbudził w Londynie ślub sułtana Jahoru z wdową po lekarzu, p. William Wilson. Było to prawdziwe małżeństwo z miłości, któremu dodawało jeszcze czaru stanowisko sułtana i bogactwa jego.

Lecz i tu prawa, rządzące maluczkimi i wielkimi zrządziły, że po 7 latach nie zostało z miłości nic, miłości wielkiej, która z wdowy po lekarzu uczyniła sułtanową hinduską. Gdyby małżeństwo to było europejskie, sprawa mogłaby przybrać charakter dramatyczny. W państwie sultana Jahory załatwia się te sprawy bardzo prosto, chociaż nie mniej boleśnie dla stron zainteresowanych. Sultan wypowiedział w obecności świadków do swej małżonki, w myśl prawa muzułmańskiego, obowiązującego w Jahorze, czterokrotnie słowo: „Talak", to znaczy „Idźsobie". I sultanowej Jahory nie pozostało nic innego, jak sobie pójść. Wyszła bowiem zamąż w myśl zwyczajów jahorskich, więc w myśl tych zwyczajów skoro sułtan wypowiedział magiczne słowo „Talak", straciła wszelkie prawa do męża, domu i dostojeństw.

—oOo—

Halina Krahelska

Tryumf po smierci

(Pamięci Andrzeja Struga)

Kiedy chowaliśmy Andrzeja Struga, powstawała uporczywie myśl, że oto schodzi do ziemi ostatni — tej miary i skali — człowiek, wielki pisarz, który w osobie swej i pracy całego życia połączył czynną walkę o niepodległość z równie czynną walką i pracą dla idei wyzwolenia społecznego, dla idei Wolności, Równości i Braterstwa ludzi. Strug, jako realizacja tej syntezy, dziwnie mocno i wyraziście żył w swoim własnym pogrzebie i żył ponad zjawisko swej śmierci. Numery pism demokratycznych, robotniczych i literackich, poświęcone działalności Struga, wykazały jak szeroko i głęboko sięgał On do serc i dusz ludzkich, jak mocny i wielki jest Jego wkład do kultury polskiej.

Ale dopiero wystawa życia i twórczości literackiej Struga, urządzona w Warszawie przez Poradnię Biblioteczną (Warszawskiego Koła Związku Bibliotekarzy, w nowym pawilonie Biblioteki Publicznej) ujawnia tę rzadka oczywistość, **że Andrzej Strug odżywa po śmierci innym, ale mocnym życiem.** Wystawa cieszy się niezwykłą frekwencją. Byłam tam na dwa dni przed zamierzonym zamknięciem)dziś wiemy, że wystawa będzie przedłużona aż do końca kwietnia) i w ciągu godziny widziałam tam trzy wycieczki szkolne i sześć osób prywatnych, notabene skrupulatnie studjujących, z ołówkiem i notesem w ręku. Od dyżurujących na wystawie urzędniczek Poradni dowiedziałam się, że ilość zgłoszeń szkół, pragnących przyprowadzić wycieczki, jest tak wielka, iż Poradnia musi już odmawiac. (Było to zapewne jedną z przyczyn przełużenia wystawy. Skromna — zresztą niezwykle gustownie i mądrze urządzona — sala działa więc jak magnes. Strug żyje. Czy potrafi więc kto zaprzeczyć, że istotnie Strug żyje w swym najprawdziwszym, najpełniejszym wyrazie. żyje wśród nas w tym właśnie co pragnął całym swoim życiem dokonać i zdziałać? Zyje — pomimo małostkowości ludzkiej, pomimo prądów uwsteczniających nasze życie zbiorowe, ponad falami zdziczenia, chamstwa, brutalizmu, **żyje i odnosi tryumf właśnie w swoich ideach,** w swoich wierzeniach, którym pozostał do końca wierny? Przecież właśnie tę okoliczność, ową niezłomność, ową stałość przekonań podniosła zgodnie po Jego śmierci, jako wysoką zasługę, prasa nawet obca i nawet wroga Jego ideologii...

O wystawie pisano już stosunkowo bardzo dużo. Pismo „Czarno na białem" ujęło subtelnie we wspólną klamrę podobnej atmosfery duchowej dwie uroczystości: uczczenia działalności naukowej prof. Ludwika Krzywickiego i tę wystawę Andrzeja Struga. Trzeba stwierdzić że wystawa przyniosła też niespodziankę.

Ostatecznie, w kołach inteligecji, zwłaszcza tej z 18 wieku, życie Struga jest dość znane: Jego działalność wyzwoleńcza, Jego epopea legionowa rycerska, Jego zesłanie. Natomiast tylko najbliżsi, osobiście—znajomi mogli zaglądać niejako za „kulisy" pracy i pisarskiej Struga. Teraz wystawa udostepniła te najbatdziej **ze Strugiem żywym.** Wielka to zasługa tych co urządzili wystawę i Żony, że chciała oddać w tym celu drogie Jej pamiątki, strzępy żywej duszy Andrzeja Struga, wypuszczanie których z własnych rąk, z zacisza domu, napewno niepokoi, czasem boli.

Jest to więc ta fascynująca zwiedzających gablota numer trzy. „Jak powstaje powieść", na przykładzie powieści „Żółty krzyż." (Osobiście — jak śmieszne są te „osobiste" w takiej sprawie chęci takbym chciała, żebyśmy mogli widzieć powstawanie „Mogiły nieznanego żołnierza") Widziałam kilka skupionych, młodych i starszych twarzy, pochylających się z dziwnym wyrazem spłoszenia nad tymi tak bardzo żywymi pamiątkami — nie koniecznymi, osobliwymi „narzędziami" pracy pisarskiej: kredkami kolorowymi Majewskiego, które służyły do podkreślenia zdań w rękopisach; nad farbami, rozrobionymi w małych miseczkach: wyczerpała się, do końca zużyta fioletowa farba: czy ulubiona?..

Pomysł powieści powstał natychmiast po zakończonej wojnie i tak długo — dziesięć lat — trwało nim przyszła do rąk czytelnika ta przepiękna książka. Ale jesteśmy świadkami tych pierwszych etapów twórczej myśli Struga, która — tak się zdaje że drapieżnym chwytem? „przybierała" się do tematu powieści (w r. 19!22). Po słowach „Wielka wojna światowa jako przedmiot powieści" (ustęp cytowany już w niejednej relacji o wystawie)pisze Strug dalej na swojej, ustalonego formatu, ręcznie barwionej po brzegu kartce.

„Idzie tu o zagadnienie powieści powszechnej, wszechnej, wszechludzkiej, strasznej tragedji wojny światowej, — o artystyczne oddanie jej zjawiska samego w sobie." Dlaczego te ostatnie trzy wyrazy trzeba było podkreślić żółtą kredką? nie można się opędzić od takich, nie mądrych, do siebie, pytań!)

„Przedstawienie jej bezstronne, bezinteresowne, „bezcelowe". (Tu cudzysłów Struga objął to słowo: bezcelowe. Zastanawiał się więc nad tym postulatem, nie był pewien, wątpił? („Beznamiętne, uczciwe, prawdziwe.") Tu Strug bierze lila kredkę i obejmuje to zdanie mocną klamrą: czy to opór świadomości, że tak trudno?) „Jej ogrom, jej fantastyczność, jej niemożliwość, jej rzeczywistość. Mękę wszystkich i każdego. Cztery lata. Jej wielkość i szczytność. Piękno. Jej odchłanne zbrodnie. Ohydę. Męstwo, poświęcenie i zniepraw enie każdego i wszystkich.") Jakież to myśli tak trapią, tak obsiadły dukuczliwie pisarza, że słowo „poświęcenio" prawie nie czytelno, coś jak „poświanie", że przed wyrazem „zniepra-wienie" jakiś inny wyraz został tak bardzo pracowicie wymazany z rękopisu, ale to tak — każdy z nas to zna! — „żeby nikt nie przeczytał!...) „Tragedje ludzi i narodów. Wszystko oglądane z lotu ptaka z wyżyn filozofa — z pierścieni Saturna. Powieść uniwersalna — dla całego świarz." (Te wyrazy mocno podreślone piórem.) „Dla każdego umysłu i serca ludzkiego, dla japończyka, ela żyda, dla polaka.."

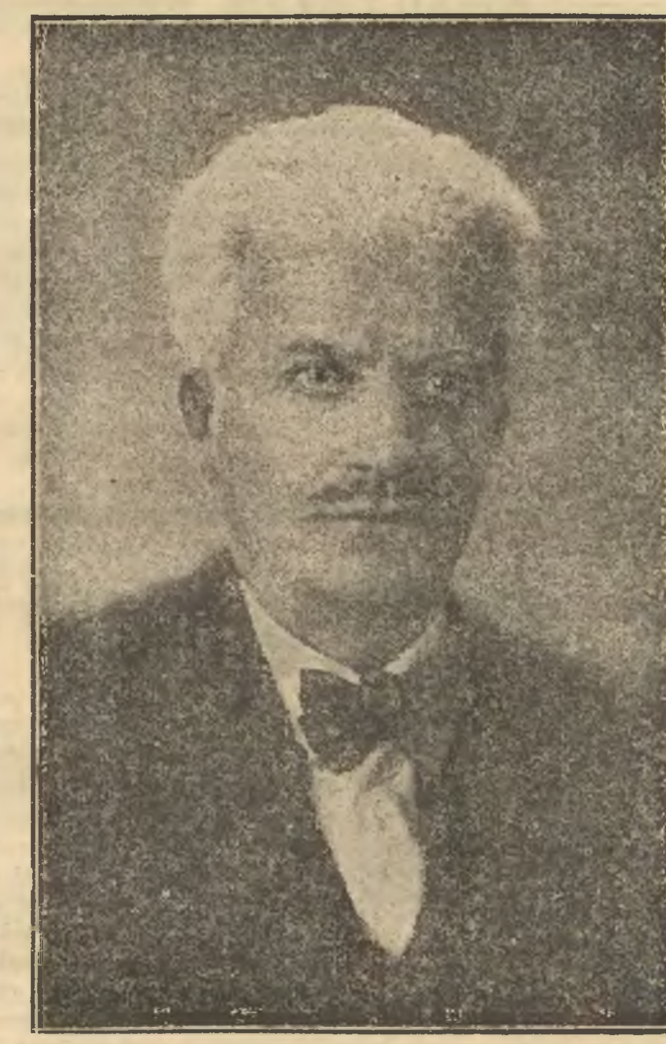
O to pragnienie stwerzenia powieści powszechnej, wszechludzkiej, jakże żywe przez całe życie pisarza! Jakże mocno żyje, wprost pulsuje z tej gabloty dziś, po jego śmierci!

Pragnienie to rosło, tłoczyło, dręczyło, przeszkadzało myśleć o budowie, wytaczać kościec nartacji, wyznaczać postacir, ubierać ie w miejsce geograficzne, w kolor włosów, w imiona... Bo dopiero w cztery lata po tych notatkach widzimy szkice planów powieści i już to odrazu jej nazwę: Zółty Krzyż..

O, żyjesz wśród nas, Andrzeju Strugu!

Będziesz święcił swój długi, długi tryumf po śmierci.

—O—



HISTORIA KARTY POCZTOWEJ

Karta pocztowa stała się tak powszechna, że nam nawet na myśl nie przyjdzie, iż istnia łkiedyś czas, gdy jej nie znano. A jednak po raz pierwszy pojawiła się karta pocztowa w 1869 r. Wynalazcą jej był profesor politechniki wiedeńskiej, dr Emanuel Hermann. Na ten temat pojawił się nawet w „Neue Freie Presse" artykuł o „nowych sposobach prowadzenia korespondencji prywatnej". Artykułem tym zainteresowały się austriackie władze pocztowe i w październiku tegoż roku wprowadzono pocztówki w obieg. Nowy, pomysł naturalną koleją każdego nowatorstwa, miał swych adherentów, ale i też gorących przeciwników. W pierwszym ich szeregu kroczyły kobiety, które protestowały przeciwko tej otwartej formie korespondencji prywatnej. Mimo tych protestów, karta pocztowa w latach 1870 do 1875 przyjęła się powszechnie i dopuszczona została w międzynarodowym obiegu pocztowym. Około 1880 r. pojawiły się pierwsze widokówki.

—oOo—

Następny numer

„Krakowskiego Kuriera" Wieczornego

nkaże się we wtorek 19 b. m.

o normalnej porze

Adam Iglicki

Francja na przełomie

A zatem — kryzys rządowy we Francji minął. Wprost w kikanaście godzin po ustąpieniu gabinetu Bluma radykał Daladier utworzył nowy rząd

A zatem — czyżby doprawdy tylko ilustracja starego, francuskiego powiedzenia: le roi est mort! Vive le roi!?

A jednak — nie!

Miejmy odwagę to jasno powiedzieć to sobie samym przede wszystkim uświadomić: kryzys ministerialny został zlikwidowany. I właśnie dopiero teraz otworzył się istotny kryzys, kryzys potencjonalnych możliwości demokracji francuskiej, jej zdolności do uchwycenia pełni władzy nad krajem w swe ręce, przeprowadzenia wszechstronnego swej woli ,narzucania i zmuszenia jej wrogów do posłuszeństwa, względnie zdolności do bezwzględnego zdławienia ich i zupełnej likwidacji

Taką jest twarda wymowa przyczyn bezpośrednich mniej niż istotnych podziemnych, ustąpienia gabinatu Bluma odrzucenia projektów jego reform i zaakceptowania nowego, jakże z rzeczy samej odmiennego od wszystkich dotychczasowych z ery frontu ludowego we Francji składu ministerialnego, utworzonego przez premiera Daladier,

Nie chcemy twierdzeń tych rzucać bez należytego uzasadnienia, bez odmalowania całego tła zmagań społecznych, których wynikiem, których jedynie są one rezultatem.

Jakież są formalne znamiona zmian tych, tak istotnych już nie tylko dla demokracji francuskiej, ale i dla obozu świata pracy wogóle, na terenie międzynarodowym? I jakie są te siły, te moce, które drogą decydującą dla rzeczywistości współczesnej, drogą nacisku i presji gospodarczej do takich przesunięć doprowadzić zdołały?

Wielkie zwycęstwo zjednoczonego we wspólnej akcji i wspólnym programie minimalnym obozu demokracji francuskiej, zwycięstwo odniesione przez t. zw. front ludowy, dla całości rzeczywistości francuskiej miało kolosalne znacz nie. Cała władza polityczna dostała się w ręce ugrupowań demokratycznych, z których najsilniejsze liczebnie, socjaliści francuscy, otrzyma li misję utworzenia nowego rządu, rządu frontu ludowego.

Pierwszy gabinet socjalisty Bluma z miejsca przystąpił do przepracowywania i wcielania w życie drogą formalnych ustaw tych postulatów, tych haseł, pod których egidą front ludowy powstał, w imię których odniosł walne zwycięstwo wyborcze. Już pierwsze reformy, wobec niesłychanego zacofania ustawodawstwa socjalnago we Francji, miały charakter niezwykle radykalnych cięć. Każdy krok naprzód, poparty bojową postawą setek tysięcy strajkujących robotników, wzbudzać musiał popłoch w szeregach rozbitej rozczłonkowanej partykularnymi interesami reakcji społecznej, warstw kapitalistycznych i faszyzmu, dawał konkretne rezultaty, konkretne osiągnięcia Francuski świat pracy poszerzał coraz dalej, coraz głębiej swoje zdobycze socjalne.

Ale też każdy krok naprzód frontu ludowego wywoływać musiał zrozumiałą reakcję w świecie kapitalistycznym. Ustępowali coraz potentaci fortun finansowych, przemysłowych i obszarniczych francuskich, ale też coraz dobitniej przygotowywali się do kontr uderzenia. Nie zaniechali żadnych środków, o żadnych sposobach i metodach nie zapomnieli w dążeniu do celu zasadniczego: położenia kresu reformom socjalnym i w ślad za nimi idącym reformom gospodarczym. ude rzającym bezpośrednio w całość, w bezpieczeństwo ich uprawnień, przywilei i interesów. Pod ich to presją, na skutek trudności i konfliktów ich działalnością wytworzonych każdy w istocie po kolei rząd frontu ludowego oparty na frontowo-ludowej większości parlamentarnej, ustępować musiał.

Każdorazowo na dnie przyczyn kryzysów ministerialnych leżały zagadnienia gospodarcze.

Kapitalizm francuski, stwierdziwszy wymknięcie mu się z rąk władzy politycznej, w dążeniu do obalenia rządów frontowo - ludowych, przystąpił przede wszystkim do użycia tych nie zwykłych możliwości, jakie zapewniły mu jego środki materialne. Zaniepokojony zwycięstwem lewicy demokratycznej i jej osiągnięciami, spowodował szalony odpływ złota z Francji

Akcja świata kapitalistyczno-faszystowskiego zmierzała do doprowadzenia Francji frontu ludowego do katastrofy gospodarczej, do uniemożliwienia w ten sposób dalszego pochodu zwycięskiego proletariatu.

Ten cios w plecy demokracji francuskiej, cios ekonomiczny, nie został przez nią w czasie należytym odparowany i udaremniony. Zapomniano, że kapitalizm nie da sobie bez zdecydowanej walki odbierać uprawnień, ani bruździć w interesach, Brak organiczeń dewizowych pozwolił na stały systematyczny odpływ złota.e

A wieszcie kiedy sytuacja gospodarcza Francji skłoniła Bluma, w drugim jego gabinecie do przedłożenia planu r form gospodarczych, godzących bezpośrednio w kapitał, przez progresywne jego opodatkowanie, wy zyskane zostały do obalenia go te wszystkie związki, jakie część radykałów, szczególn e członków senatu, łączą bezpośrednio ze światem kapitalistycznym.

I oto, w tej chwili, być może decydującej dla demokracji francuskiej, zabrakło rządowi decyzji, decyzji walki. Senat, powolne narzędzie w rękach dzierżyci li wielkich fortun, osiągnął swój cel i — miast samemu ustąpić, miast być zmuszonym, — doprowadził do obalenia gabinetu Bluma.

Gabinet Daladiera nie jest w istocie samej rządem „Rassemblement populaire". Żadne z ugrupowań frontu ludowogo francuskiego, z wyjątkiem rodzimych radykałów, nie uchwaliło mu stałego poparcia. Nie stoi za nim front ludowy, ale świat kapitału, gotujący się do ostatecznego ataku.

Francja, kraj demokracji politycznej, parlamentarnej, przeżywa doniosłe chwile. Na kopcach jej granicznych usiadły trzy faszyzmy, gotowe do uderzenia: włoski, niemiecki i nowy, ostatni, gen. Franco. Na polach jej wewnętrznych zaostrzyła się oś walki kapitału, opartego na rodzimym i zagranicznym faszyźmie, kapitału międzynarodowego ze światem pracy, z ludem pracującym.

Jaskrawo, dotkliwie w kryzysie jej uwydatniła się ta zasadnicza platforma, jaką, by spełnić swe zadania. winien kroczyć każdy obóz demokratyczny: osiągnięcie władzy politycznej i demokracji politycznej nie jest, nie może być celem. To tylko koniecznym środek do cięć ustrojowych, gospodarczych, jedynie mogących zapewnic zaistnienie pełnej, rzeczywistej demokracji i sprawiedliwości społecznej.

Na przełęczy Brenneru

Pierwsze drogi alpejskie zbudowane przez Rzymian w czasie podbojów na północy, stały się bramą, wiodącą z południa na północ. Rzymianie, którzy byli świetnymi strategami, na wiele setek lat przed rozwojem nowoczesnej techniki, dokonali olbrzymiego dzieła budowy kilku szlaków drogowych, między którymi największe znaczenie miało wykorzystanie dla tych celów górskich przełęczy, jak św. Bernarda, Simplonu, Mont Cenis i wreszcie Brenneru. który otwierał drogę legionom rzymskim do krajów naddunajskich.

Drogi rzymskie były doskonale przystosowane do miejscowych warunków, lecz nadawały się jedynie do przejścia, a dla ruchu kołowego były bardzo niedogodne, ze względu na spadzistość terenu. W nowszych czasach nad utrzymaniem dróg alpejskich czuwały poszczególne gminy, przez które przechodziły te magistrale. Dopiero przeprowadzenie linii kolejowych unormowało raz na zawsze dozór nad drogami oddając go poszczególnym dyrekcjom kolejowym.

Brenner, łączący Weronę z Innsbruckiem, należy do niższych połączeń alpejskich. Leży on na wysokości 1370 metrów nad poziomem morza. Został udostępniony dla ruchu kołowego około roku 1770; ówczesne władze dołożyły starań, aby uczynić tę droge dostępną przez cały rok; wiedzie ona od Insbruku do Bozen, która to miejscowość w średniowieczu była węzłem handlowym między Wenecją i miastami północno-europejskimi. Najwyższą część drogi Brenerskiej stanowi t. zw. Sachsenklemme; jest to wąwóz, w którym poległo 550 żołnierzy pod wodzą marsz. Lefebre'a w 1809 r. Wylot wąwozu tworzy długi, wąski korytarz, na końcu którego znajduje się t. zw. pustelnia Brixen. Ze wszystkich dziesięciu przejść alpejskich Brenner jest najniższy i jednocześnie najwęższy. Od Bozen droga wiedzie stale w dół doliną górnej Adygi, przebiegając po niezliczonych mostach i serpentynach.

Oprócz drogi kołowej przez przełęcz Brennerską biegnie linia kolejowa, jedna z najwyższych w Europie, bo na wysokości około 1370 metrów. Trasa kolei Brennerskiej liczy 228 kilometrów i łączy środkową Austrię z Italią, na przestrzeni od Insbrucku do Werony, przez Gossensass, Klausen, Bozen i szereg małych włoskich wiosek w dolinie Adygi, tworząc najkrótsze połączenie między Tyrolem i środkową Lombardią. Linia ta, budowana w latach 1864—1867, nie mogła być wykończona w tempie tak szybkim, jak inne drogi transalpejskie. Drogę Brennerską cechuje pewien charakterystyczny szczegół. Mianowicie tutaj po raz pierwszy inżynier A. Thommen, twórca tego szlaku, zaprojektował t. zw. tunel obwodowy w dwóch miejscach, w Jodocustal i Pflerschtal.

Tunel ten posiada kształt spirali, wydrążonej w skale na wysokości 650 mtr. nad poziomem morza.

Obok Semmeringu, który jest dogodnym połączeniem między Wiedniem i Triestem, kolej Brennerska łączy bezpośrednio Italię z III Rzeszą. Wszystkie inne drogi kolejowe z południa na północ prowadzą przez Szwajcarię (St. Gotard, Simplon i Mt. Cenis). Nic więc dziwnego, że zarówno rząd włoski jak i niemiecki przywiązują wagę do tego połączenia.

Om.

Karol Müller

Inwazja jednastej muzy

Jak każda rzecz w zaczątkach tak dziesiąta muza, której działalność wypowiadała się na taśmie filmowej, wpierw odsąd ana była od czci i wiary. Uruchomione obrazy—wydało się to dziecinadą, chwilowym trickiem przelotną efemerydą. Nie minęło je dnak czterdzieści lat, kiedy dziesiąta muza rozpanoszyła się, usunęła w kąt pozostałą dziewiątkę, z milczenia przeszła w krzyk i wrzask aż ostatnio utemperowała się. Dzisiaj znajdziemy w reklamach obrazów filmowych zdania: film, zawierający mało dialogów. Istotnie: wielki gaduła do tego stopnia począł zapominać o stronie wzrokowej, że reakcja odbiorców dopiero nakazała mu częściową ucieczkę.

Ale obecnie, obok uznanej przez ogół dziesiątej muzy, zwalczanej coraz to ze słabnącą energią, ukazała się na horyzoncie sztuki jeszcze jedna muza, niewidzialna a nie mająca jak na razie danych aby można ją uchwycić wzrokowo. To radio. Trzecia forma spektakli, dotychczas kopia teatru a zaprzeczenie kina. Chociaż, czy pod każdym względem? Przecież ilustracja muzyczna, wypełniająca szczególnie obficie przerwy, pomiędzy jednym a drugim miejscem akcji radiowej, wywiodła się z początków kina. Tam, gdy dialogi stawały się coraz nudniejsze, ratowano się ilustrowaniem muzycznym wypadków na srebrnym ekranie. Muzyka nie przytłumiała słowa kinowego, lecz je łagodziła a niekiedy odwracała uwagę od niezrozumiałych zdań, okresów czy oderwanych wyrazów.

A teraz spotykamy coraz częściej muzykę, spełniającą rolę łącznika w scenach radiowych. Czy wywiodło się to jedynie z kina?... Przypomnijmy sobie, że i w teatrze prawdziwym, trójwymiarowym od pewnego czasu znajduje muzyka, jako element ilustracyjny wcale często zastosowanie. Daleki jestem od złośliwej uwagi, że rozwój środków technicznych w teatrze, zmusił do łatania niejednokrotnie spektaklu muzyką. Jeżeli w teatrze rozgrywa się utwór, w kilkunastu czy nawet w kilkudziesięciu odsłonach, wtedy, nie mając odpowiednich środków technicznych, któreby umożliwiły szybką zmianę dekoracyj, powstałe stąd wyrwy zapycha się muzyką. Są w tym wypadku i ujemne i dodatnie strony. Ujemne, bo muzyka nie pozostaje w organicznym związku z akcją teatralną. Ale tylko wtedy, jeśli jest źle napisana. A jeżeli mamy do czynienia z muzykiem z prawdziwego zdarzenia, potrafi on ilustracją dźwiękową wywołać pożądane wyniki. Poprostu zapowiada on, co następna chwila na scenie przyniesie.

Podobną zapowiedzią jest muzyka w słuchowiskach radiowych. Coraz to utwierdzamy się w przekonaniu, że rola gongu, jako zasłony w radio, powinna należeć do przeżytków. Zamiast tego mamy partje muzyczne, dozwalające nam na wyobrażenie sobie pewnej ilości czasu, która minęła. Typowym tego przykładem jest rola muzyki w zręcznym słuchowisku Jalu Kurka, pt.: „Andrzej Panik". Muzyka Mikuszewskiego nie pozostawała w ścisłym związku z słowem Kurka, ale była jakimś pośrednikiem, między poprzedzającą a następną sceną.

Jakie formy przybierze muzyka radiowa w przyszłości? Pozostawiam głos znawcom. Może w międzyczasie rozwinie się telewizja a wówczas będzie to kinematograf z natychmiastowym odbiorem. Może radio pozostanie w dotychczasowym zakresie i będzie teatrem wyobraźni, jakkolwiek ta nazwa nie smakuje już wielu osobom, które proponują raczej termin: teatr słuchowiskowy. Istotnie, wyobraźnia potrzebna nam jest we wszystkich działach sztuki. Jeżeli, idąc do teatru, nie potrafię sobie wyobrazić pewnych rzeczy, np. że istnieje ta czwarta, niezbędna ściana, że aktorzy nie wiedzą nic o słuchającej i oglądającej ich publiczności, wtedy zaprawdę lepiej abym udał się na zawody sportowe. to nie na szlachetny ich rodzaj, jak: szermierkę, pływanie, wyścigi konne, lecz na najbardziej prymitywne: jak boks.

Cofnijmy się jednak przed wycieczką w stronę tej alfy i omegi dzisiejszego życia aby uzmysłowić sobie jakie postulaty stawiamy obecnie jednastej muzie...

Wyszła ona z teatru, oglądanego przez dziurkę od klucza a raczej podsłuchiwanego przez zamknięte drzwi. Ale od kina nauczyło się radio nadążania za ruchem występujących osób. A nietylko za ruchem lecz i za dźwiękiem. W radio możemy sobie pozwolić, idąc za przykładem kina na ściganie mikrofonem, podobnie jak kinowym objektywem oddalających się wykonawców, To, co w teatrze nigdy prawie nie wywrze pożądanego efektu, w kinie czy w radiu może przedstawić się pierwszorzędnie. A więc, przypuśćmy, ktoś wychodzi z mieszkania, zbiega po schodach znajduje się na ulicy. W takim wypadku teatr właściwie jest bezsilny. A kino? Posyła za danym aktorem operatora, który mu towarzyszy w drzwiach, w klatce schodowej, w sieni, na ulicy. To samo lecz o wiele trudniej, z natury rzeczy można uzyskać w radio. Słyszymy kogoś, o którym wiemy, poprzednio, że znajdował się w pokoju. Słyszymy otwarcie drzwi a potym oddalające się kroki, które powinnyby po pewnym czasie zamilknąć ale idziemy zapomocą słuchu razem z tymi krokami i odczuwamy: teraz człowiek ów znajduje się na schodach. Zbiega po nich, już jest w sieni. Już wyszedł z sieni. Znalazł się ulicy czy w ogóle na jakiejś wolnej przestrzeni.

Zastanówmy się czy nad tym prostym środkiem radiowym nie przechodzimy, obojętnie a krzywdząco, do porządku dziennego. Ostatecznie samo radio zdaje sobie sprawę z szczupłości swych dzisiejszych sposobów. Dlatego chętnie zwróciło się w stronę muzyki dlatego zawarło z nią przymierze, dlatego, zdane jedynie na efekty dźwiękowe, stara się je rozazerzyć, uszlachetnić.

Nigdy nie zgodzę się z hipotezę, jakoby radio i kino były wrogami teatru, Są to jego odnogi, czy pochodne. Możliwe, że szybki ich rozwój wpłynął narazie na brak zainteresowania się teatrem. Bowiem teatr mamy od tysięcy lat a kino od kilkudziesięciu nie mówiąc już o radiu, które swoją artystyczną formę ukazuje nam od ledwie kilkanastu lat.

Toteż nie odsądzajmy od czci i wiary radia, nie urągajmy na kino i nie gardźmy teatrem. Pragnijmy tylko emocyj, jakich możemy doznać czyto przy spektaklu scenicznym czy to na seansie filmowym czy przy odbiorze słuchowiska. Oczywiście: teatr powinien mieć w tym pierwszeństwo. Mieści on w sobie. i ruch kinowy i dźwięk radiowy. Ale czy mam wymieniać filmy lub słuchowiska, przy których odnosiliśmy pełną satysfakcję? Chyba jest to zbędne, bo któkolwiek zajmuje się kinem i radem, ten przeżywał sporo wrażeń od najlżejszych począwszy a skończywszy na najpodnioślejszych.

Tajemnica bez tajemicy

Greta Garbo bez szminki

Któż nie wie, że Hollywood, "to miasto najhuczniejszej reklamy, miasto pełne obłudy, hipokryzji, miasto — służka najgorszego snobizmu. I w tym mieście jednak potrafi się gnieździć prostota, ba, zbierać nawet laury. Kobieta, która potrafiła nawet uniknąć ciągłego reklamowania się, która po gardziła wszelkimi nawet najmniejszymi sposobami osiągnięcia rozgłosu, jest Greta Garbo. Greta Garbo wzgardziła reklamą najzupełniej.

I jednak mimo wszystko trzeba było znaleźć coś, coby zaspokoiło ciekawość tłumów! żądnych wieści o tajemnicy życia prywatnego swych ulubieńców filmowych. Tak też się zrodziła „tajemnica" Grety. W wynalazczej wyobraźni dziennikarzy amerykańskich zrodziła się myśl o narzu eniu wielkiej aktorce: miłości romantycznej, a zawiedzionej.

I podczas gdy Greta czuła się jak najlepiej, zajadając z doskonałym apetytem, spacerując z przyjemnością po wolnym powietrzu, marząc tylko o tym, by żyć w spokoju, dokoła niej rosła legenga o nieszczęściu co to ni by zły wąż gryzło jej wnętrzności.

A Greta Garbo została nadal taką jaką była w chwili, gdy z roli zwykłej modelki z magazynu mód w Sztokholmie została zaangażowana do nagrania filmu reklamowego, w czasie którego odkryto właśnie jej talent aktorski. Została zlekka nieśmiała, o wielkiej niezależności charakteru, lubiąc samotność, nieskończenie wrażliwa, bardzo inteligenta, dbała o ciągłe doskonalenie metod swej pracy.

Nigdy nie upoiły ją sukcesy. Dwanaście lat pobytu w Hollywood, dwanaście lat nieprzerwanego, nieustającego wzrostu sławy nie zmieniło jej ani na jotę. Pozostała tak prosta i tak uważna, jaką była u początków swej kariery. Posiada przy tym ogrom nie rozwinięte poczucie obowiązku zawodowago. Każdą rolę poznaje do głębi i tak doskonale, że rzadko reżyser ma jeszcze coś do dodania. Praca, a potem zdrowy i zasłużony odpoczynek wśród przyjaciół, oto wszystko, co by można było orzec o „boskiej" Grecie. Jej jedyną tajemnicą jest jej rozsądek i mądrość.

Tego jednak jest o wiele zamało dla żądnych sensacyj reporterów. Oto kilka lekkich bzdur, które głąszą oni o inteligentnej aktorce:

Greta Garbo zbiera wszystkie zbłąkane w okolicy koty i znosi je od mieszkania.

W chwilach odpoczynku od pracy okrywa swe ramiona zawsze i jedynie szalem, robionym specjalnie dla niej w Szwecji.

Używa tego samego auta przez siedem lat, w ostatnim roku kupując nowe na następnych lat siedem.

Jest wegetarianką i jada mięso tylko bardzo rzadko, Nigdy nie chodzi do restauracji. Jeden raz tylko zrobiła wyjątek, spożywając śniadanie w restauracji, w której interesy szły kiepsko i odtąd gospodarz nie mógł się opędzić od gości.

Czyta dużo i potrafi dyskutować wspaniale na każdy temat.

Tajemnicą dla wszystkich zostaną na zawsze źródła, skąd podobne wieści czerpią reporterzy. A może ta tajemnica jest prosta do odgadnięcia?

Może źródło jej spoczywa tylko w głowach i w bujnej ich wyobraźni?!

Maksymilian Boruchowicz

Tryumf czy tragizm młodości

W pewnej knajpce, wiodącej swój byt pod arcypatriotyczną wywieszką w zawszonym miasteczku spostrzegłem onegdaj jakiś napis. W drewnianej ramce, za szkłem, na opusto szałej pozatem ścianie. Zdziwienie moje przeszło jednak wszelkie granice, gdy przeczytałem tekst sentencji. Brzmiała dosłownie: *„Młodości, ty nad poziomy wylatuj!..“* (A. Mickiewicz: „Oda do młodości“)

Zdrętwiałem. Skąd? poco? dla kogo? Dlaczego, jeśli już koniecznie musi być napis, to nie — „swój do swego po swoje“, nie — „hej bracia sokoli“, albo sto innych a pięknych sentencyj, ale właśnie ta, ta młodość co to nad poziomy i... wogóle?

Ale właściwie... Tak, doznałem już kiedyś podobnego uczucia w związku z „Odą“... Było to kilka lat temu, podczas dyskusji o „literaturze narodowej“ na Uniwersytecie Jagiellońskim. Jeden z dyskutentów, replikując wówczas na moje wywody uważał za stosowne oświadczyć: Należę do pokolenia, które wychowało się na „Odzie do młodości!“

(Istny maniak z tym pokoleniem, które... Była dyskusja o Sienkiewiczu — każdy wychowywał na „Og niem i mieczem“, jest mowa o „Odzie“... — wyskoczy zaraz taki, którego karmili „Odą“... Ze też żadna z wytwornych pań nie powie tego o Mniszkównie, Zarzyckiej, Pitigrillim, Eversie, czy Marczyńskim, chociaż byłoby zapewne dużo ku temu powodów).

Ale wróćmy do wspomnianego napisu. Fakt, że ten cytat zbłądził już nietylko pod strzechy, ale nawet pod „Wiechy“ daje już dużo do myślenia. I może warto z tego tytułu przypomnieć pokrótce o pewnych szczegółach legendy o młodości.

Spróbójmy:

II.

Najpopularniejszy z pośrod znanych jest chyba mit o beztroskim studencie: głód i chłód na poddaszu, ozłacane szampańskim humorem. To ci z „Lalki“ Bolesława Prusa i z nowel Makuszyńskiego. Łaziki i wydrwigrosze, nieodrodne potomstwo „Cyganerii“ Murgera. Djabeł wie kiedy śpią i kiedy się uczą, gdyż dzień i noc zajmuje im pobodno urządzanie kawałów. Są postrachem gospodyń gdyż komornego nie płacą, kwitując upomnienia garścią złośliwości. Skrobią żelaziwem po szybie, naśladując szczury. Do okien właścicielki, mieszkającej o piętro niżej, spuszczają na sznurku trupią czaszkę, lub wylewają miednicę wody na wychylającą się z okna nadobną głowę. Gdy przyjdzie do przeprowadzki, załatwiają ten obrzęd z namaszczeniem. Idąc szeregiem „gęsiego“. Pierwsi niosą krzesła. Następnie toczy się łóżko, dźwigane przez kiku innych studentów; w łóżku leży jego właściciel. Potem stół, a nakoniec część pochodu, uzbrojona w garderobe, miednicę i pozostałe przedmioty użytku. Co pewien czas przystają na środku jezdni, żeby odpocząć. Gromadzą się dokoła stołu i „odwalają partyjkę zechcyka“.

Często kilku mieszkańców studenkiego pokoju posiada tylko jeden garnitur. Wychodzą wobec tego na zmiane. Posiadają dokładny skorowidz znajomych i ciotek, u których można zaciągnąć „pożyczkę“ lub pożywić się w czarnej godzinie. W rozmowach ich pojawiają się co kilka zdań dowcipna anegdota lub uszczypliwy kalambur. Kpią ze statecznych mieszczuchów, którzy stanowią dla nich jedynie ofiary do kawałów i niewysychające źródło „pożyczek“.

Są bożyszczami służących i szwaczek. Miłości nie biorą zbyt poważnie. W erotyce są gentlemanami, lecz z ograniczoną poręką t. zn. tylko w stosunku do dziewcząt ładnych i sobie sympatycznych. Natomiast wypięte pretensjami, żołcią lub brzydotą „córki obywatelskie“ stanowią — podobnie jak ich rodzice — przedmiot naigrawań. Jak czasem zresztą, jak czasem. Zdarza się bowiem, że biedny student zakocha się „na śmierć“ w dorodnej i rodnej Julii. Pisze wtedy makabryczne czułe wiersze, rujnuje się na kwiaty i chodzi długo nocą skarżyć się pucułowatej twarzy księżyca na swój nieszczęsny los. Zazwyczaj tata panny „stoi na przeszkodzie“, mama panny pilnuje i wogóle piętrzy się piramida intryg. Albo inaczej jeszcze: on kocha ją, a ona jego kolegę, jego kolega natomiast „ma się ku“ jej koleżance i t. d. Czasem awantury, kiedyindziej orgia szlachetności: petent wpadą w oko dostojnej damie, bywa, że wybiera się na podbój salonów, jak Lucjan de Rudempre czy Eugeniusz de Rastignac, pupile „ludzkiej komedii“ Balzaka. Wogóle — różnie bywa.

III.

Rzecz tylko w tym, że legenda nie kończyła się się na anegdotach o humorze i o kawałach szampańsko-dziecinnych. Miała też drugą stronę i to bardziej ważką. Mam na myśli *świat bohaterów Brzozowskiego i Żeromskiego. Młodych, chorych na tęsknotę za przebudową świata w kierunku ugruntowania wolności, Duszących się w obręczy panujących warunków.* Tych, których stać było na marzenie o szerokim oddechu i na *dalekość perspektyw.* Filaretów, Filomatów rosyjskich, „Młode Włochy“ i „ludowe Niemcy“, powstańców polskich i członków „Narodowej Woli„ w carskiej Rosji, socjalistów i legjonistów polskich w czasie wojny światowej. Tych, co nabywanie wiedzy traktowali jako synonim zdobywania dalekich horyzontów. Którzy umieli się porać z wątpliwościami i dopiero z wątpliwości wykrzesać ideę. Nie chodzi w tej chwili nawet o cel, któremu służyli, ale o to, że *ich droga do celu była niebezpieczna, że umieli iść przeciw fali.*

To, że „Odzie do wolności“ towarzyły piosenki na cześć koleżanek, a wygnaniu — miłostki, to że student uniwersytetu prosto z zebrań dyskusyjnych szedł urządzać naiwne kawały — to drobiazg. Młode były idee i żarty ich parowały młodością.

To właśnie młodość nasączyła mickiewiczowską „Odę“... i *tej właśnie młodości „wspólnymi ramiony opasującej ziemskie kolisko“, była „orla potęga“.*

IV.

A dzisiaj?

Rok w rok przybywają na uniwersytety młodzi, przynosząc z sobą dziko wyrosłe kwiatki i kąkole nadziei. Sądzę, że przekroczyli próg cierplarni, która kwiatki te (o romantyzmie porównań!) będzie bujnie i troskliwie rozwijać. Na wstępie wita ich wrzask kolorowych ulotek. Jest laurowo i górnie. Potem następuje przebudzenie, kwiliwości jest niewiele, a te, które jeszcze istnieją są matowe. Szaro, smętnie

Dla wyładowania młodzieńczych zapędów — stoją do dyspozycji *ideowe awantury.* O poraniu się z wątpliwościami, niema mowy. Decydują względy uboczne — widoki kariery (bogom się pożal — jakiej) akcesoria: łatwe hasła i *możność robienia awantury bez ryzyka.* Nic nie grozi za to, bo młodzi „obrazoburcy“ posiadają zaplecze sympatii u starych, przeciw którym rzekomo się burzą. „Biorą“ tylko najbardziej wulgarne „chwytniki“. Wydęta próżnia, której fabrykanci wiedzą doskonale, że niewielu odbiorców będzie sprawdzać, rozmyślać. Wystarczy namiastka, pretekst do huku i szumu, do przywdziania bohaterskich ostróg za cenę bezmyślności i absolutnego bezpieczeństwa. „Za naszą i wasza wolność?“ Nie, to zbyt skomplikowane, zanadto abstrakcyjne, za bardzo ryzykowne. Ekscesy — oto okrzyk, który może liczyć na wzięcie. *Jest do wulgarności konkretny, wisi w powietrzu, niczem nie grozi.* Nie tylko nie trzeba przeciwstawiać się opinii, ale pani opinia jeszcze pochwali i będzie mówić o dziarskości młodzieży.

I tak też są te „poziomy“. Drapieżne roztrząsanie zagadnień. pokpiwanie z wytartych liczmanów, do mody już nie należy. Weksel młodości wypłaca się po cenach kryzysowych: Ot, dziewczynka gdzieś, kiedyś, popijała i akty żydowskie rozruchy t. zn manewry, ale nie jesienne już nawet, lecz chroniczne. Hasło „Młodości, ty nad poziomy wylatuj!“ posiada w interpretacji dnia akcent, z jakim wymawiał je Dymsza, t. zn. akcent wojskowego roz-azu. Mimo huku i stuku jest matowo. Okrutnie matowo.

I jakby na ironię, właśnie w ostatnich latach młodzież i młodość mają „dobrą prasę“. Pisze się o nich dosyć dużo i z podejrzanym entuzjazmem, jak gdyby dopiero obecnie przymioty młodości osiągnęły swój zenit, swoje zwycięstwo. Tylko, że tym razem nie o tamtą młodość już chodzi, ale o tę, która wszystkie atuty zsprzedała bez walki, w stadowym entuzjazmie. Reżyserja dokonała tu podobnego przesunięcia, jakiego dokonywa się na terenie społecznym. *Podobnie jak tam, w celu pogwałcenia prawa ludu, mobilizuje się lud, by sam wkładał sobie na szyję obrozę, tak tu mobilizuje się młodzież, by przekreśliła i unicestwiła wielkie tradycje młodości.*

Pochwały na cześć młodzieży są nie triumfem jej lecz tragedią.

Inna tylko rzecz, że przecenić trwałość dzisiejszych ustrojów, byłoby małodusznością i zbytnim zaufaniem dla dawnych legend.

Tymczasem wiemy przecież, jak te ostatnie się tworzą.

W rzeczywistości i dawniej nie było znowu tak zamaszyście różowo, jak mity każą wierzyć. Nasi protoplaści wydawali wkońcu kadry tępich karierowiczów, lizusów i biurokratów, legenda tyczyła się tylko garstka.

Ale:

Właśnie ta garstka, a nie trzoda ich błagonadiożnych kolegów, w oparciu o dziejowe prawa mas, pchnęła świat na *nowe tory,*

Tajemnica GUS-u

Działalność naszego Głównego Urzędu Statystycznego spotykała się naogół z dużymi zastrzeżeniami Największe bodaj niezadowolenie wywoływało coroczne ukazywanie się popularnego „Małego rocznego Statystycznego".

Jakże tu być zadowolonym, jak prawdziwy „narodowiec" może przyjąć z uznaniem wiadomość że n. p. w Polsce przemysł idzie w tyle za wszystkimi krajami, że mamy najmniej samochodów, że najwięcej mamy analfabetów, że kryzys kryzysem, ale że w Polsce jakoś go ciężej przechodzimy niż gdzieindziej A tu nam przemówiono o mocarstwach, idei prometejskiej ekspansji.

Widocznie coś nie zgadzało, naturalnie zawinił G. M. S. no bo to niemożliweby tak było, jak jest. Statystyka — to przecież niebezpieczna. Np. takie nożyce cen? Głupi pomysł, nie ma żadnej różnicy między nami rolniczymi a przemysłowymi. Skończyć z tym.

Ale na tym jeszcze nie koniec. Znaną jest rzeczą, że Statystyka to robota komunistyczna. Wiadomo. W tym więc sedno rzeczy, aby u nas w to gniazdo wywrotowej roboty wsadzić właściwego człowieka. Czytamy właśnie ostatnio w prasie następujący komunikat:

„Wakujące dotychczas stanowisko naczelnika wydziału Głównego Urzędu Statystycznego objął z dniem 1-go kwietnia dotychczasowy zastępca naczelnika wydziału bezpieczeństwa ministerstwa spraw wewnętrznych radca Jan Bach. Jak wiadomo, p. Bach należy do najlepszych znawców roboty w tej dziedzinie.

P. Bach objął posadę z dniem 1-go kwietnia. A może to żart primaaprilisowy?

Gdzie jest właściciel 150.000 zł

Wielką sensację i zrozumiałe zainteresowanie wywołała w Krakowie sprawa wiążąca się z urzędowym otwarciem safesu w PKO. dokonanym onegdaj. O to przed kilku laty wynajął w Krakowskim oddziale PKO safes Abraham Dawid Gross z Rzeszowa. Kiedy właściciel przez szereg lat nie płacił dzierżawy za safes PKO zwróciło się do sądu o ustanowienie dla Grossa kuratora. Rzeczywiście sąd wkrótce zastanowił kuratora w osobie mec. mgr. Stanisława Janigi, który usiłował odnaleźć Grossa bezskutecznie jednak, gdyż wszystkie listy wracały z powrotem.

Wobec powyższego onegdaj przystąpiono w obecności przedstawicieli władz do urzędowego otwarcia safesu, w którym znaleziono większa ilość obcych walut na sumę 10.000 zł oraz książeczkę PKO wartości 140.000 zł. Poszuukiwania za ich właścicielem którego adres jest nieznany, trwają nadal. Kurator Brossa adw. Stanisław Janiga prowadzi kancelarie w Krakowle przy ul. Mikołajskiej 2.

Pamiętajcie o prenumeracie

Emil Dziedzic

BARABY

Mało kto się spodziewał, że na tych kwaśnych łąkach wyrosną długie tartaczne szopy, robotnicze baraki i tartak z wysokim blaszanym kominem. Ale gdy już zaczęto budować uwierzyli wszyscy, że jednak w Dabrowicach tartak będzie.

Budowa rosła w oczach i ani się nie obejrzeli gdy jednego wiosennego rana w Dąbrowicach zagrała tartaczna syrena.

Zaraz też do Dąbrowic zjechal. jacyś nowi ludzie — obcy nieznajomi, mówiący dziwnie nawet śmiesznie, całkiem odmiennym akcentem. Dąbrowiczanie nie koniecznie przyjaźnie spoglądali na nowych przybyszów.

Bo i co? — powiadali między sobą. — Diabli wiedzą skąd ich tu wiatr przygnał, A czyby to swoi ludzie nie potrafili na ich miejscu robić? Czy nie mają takich samych rąk i nóg? No powiedzcie?

Racja — juści żeby potrafili — przytakiwali.

I dlatego, ni stąd, ni z owąd wynikła w Dąbrowicach nienawiść do obcych ludzi pracujących w tartaku.

Nowi przybysze zamieszkali w dość dużym domu-baraku. I może też dlatego Dąbrowiczanie nazywali ich „barabami."

Tarteczni baraby byli nawet dość liczni. Maszynista gatrowy jeden. drugi i jeszcze paru pomocników i cyrkularników. Większość z nich sprowadziła się z rodzinami.

W tartaku szła praca. W każde rsno, popołudnie, i wieczór grała przeraźliwa syrena i Dobrowiczanie wiedzieli która jest godzina...

Całemi dniami ciągły do tartaku długie klucze chłopskich furmanek zwożonych z pobliskich lasów swierki, sosny i jodły. Na placu układano je jedną koło drugiej a następnie wtaczano na wózki i już ludźmi dociągano je do dwóch charczących gatrów, które w potężnym rozpędzie przecierały niedawno rosnące jeszcze drzewa na białe kształtne deski ligary, lub kanciaste belki. W mgnieniu oka plac się zasłał stosami materiału.

We wieś niosło się darcie rotników charczenie gatrów nawoływanie furmanów, a czasem kwik chłopskich koni, których zawsze pełno było w tartaku.

Wieczorami zalegał spokój.

Wtedy gdy się przechodziło gościńcem koło robotniczych baraków można było słyszeć tęskne płaczliwe spiewanie.

W takie ciche pofajerantowe wieczory śpiewanie wyrywało się z dusznej baracznej izby i rozpływała się po całym tartaku.

To rusini zwykle śpiewali. Nowi przybysze słuchali tego nabrzmiałego tęsknotą śpiewu i mało co z niego rozumieli Ale im się podobał.

Seweryn przybyły tu w odwiedziny zawsze wymykał się z rodzinnej isby aby ich słuchać. Czasem podchodził pod samo okno baracznej izby i przytykając nos do samej szyby patrzył do wnętrza. Wtenczas widział jak robotnicy nazwani „bojkami" leżeli na ławach z rękami podłożonymi pod głowe i patrząc w nieobieloną powałę śpiewali, twarze ich były zwykle nieogolone wychudłe a oczy palące się blaskiem, który mówił że oni tęskno i płaczliwie śpiewający „bojki" wierzą w jakieś szczęście w jakieś inne słoneczne dni...

Tak mówiły ich twarze, ich oczy ich śpiewąnie.

A gdy czasem śpiewali po rusku

Biją dzwony smutne tony
Robotnicze płyną łzy . . .
Robotnicze dziecie śpi
I o czarnym chlebie śni . . .

Seweryn twarz przyciska do ściany i coś mu zapychało gardło. Wtenczas nie widział nic, nie czuł nic oprócz tych ludzi — tych „bojków" Jednego popołudnia tartak niespodziewanie stanął. Robotnicy placowi pędem gnali wstrore gatrów, Seweryn yeiegł z izby i spojrzał przez szpary do tartaku. Zauważył ściśniętą grupkę ludzi patrzących na coś leżącego na deskach. Seweryn nie wiedział co. W tartaku było w tenczas cicho jak przy spuszczaniu trumny do grobu. Później robotnicy się rozstąpili a trzech wyniosło zniekształcone ciało Wasyla, które ociekało krwią, Zanieśli go do baracznej izby i złożyli na ławie...

Znowu stanęli w koło i patrzeli martwo bez słów, bez krzyków, bez niczego. Za dziesięć minut Wasyl przewalił oczami, które już więcej nie drgnęły... Wtedy posypały się z głów czapki Sewerynowi łzy zakręciły się w oczach ale ich nie wypuścił...

Wieczoram tłumnie przychodzili do tartaku Dobrowiczanie i oglądali kawałki zmiazdżonego ciała...

Zegnali się, opowiadali i wróżyli że zły to znak — tak zaraz na początku zabiło człowieka...

Pierwszy raz tego dnia zetknęli bliżej z „barabami" którzy opowiadali o wypadku o swej tułaczej doli o marnym zarobku i wogóle... Tego wieczoru w Dobrowickim tartaku było cicho jakby życie w nim do reszty zamarło.

W baracznej izbie siedzieli robotnicy i nie mówili nic, Po ścianach łaziły pluskwy a na podłodze czerniła się zaskrzepła krew Wasyla— człowieka.

M. Aldanow

SARA BERNHARDT

M. Aldanow, świetny krytyk, essayista i literat rosyjski, autor wielu powieści historycznych, z których kilka ukazało się w tłumaczeniu polskim („Święta Helena — maleńka wyspa"), dał ostatnio szereg szkiców biograficznych, poświęconych między innymi generałowi Pichegru jednemu z bohaterów Wielkiej Rewolucji Francuskiej, ex-królowi hiszpańskiemu Alfonsowi XIII itd., itd.

Szkic biograficzny Sary Bernhardt stanowiący jedną z tych doskonałych prac Aldanowa ukazał się na łamach tygodnika emigracji rosyjskiej „La Russie Illustree" („Illustrinowannaja Rossija").

Do liczby swych adoratorów zaliczała czterech cesarzy i dwunastu króli. Rachunku wielbicieli o mniej wysokiej randze widocznie nie prowadziła.

Wiktor Hugo klęczał przed nią i całował jej ręce. Copee, Oscar Wilde, Richepin i wielu innych pisało dla niej sztuki. Pod jej kierownictwem dojrzał Edmund Rostand. Octave Mirbeau pojedynkował sie o nią. O niej mowa w utworach Tołtoja. Trugeniew opisywał jej głos. Romain Rolland uwiecznił ją w jednej ze swych powieści.

Objechała cały świat. Miała z sobą świtę i osiemdziesiąt kufrów. — Rządy wszystkich państw dawały do jej dyspozycji specjalne pociągi. W Sydney rada miejska postanowiła iluminować miasto w dzień jej przyjazdu. W Argentynie wielbiciele ofiarowali jej majątek ziemski, liczący trzydzieści tysięcy akrów. W Rio de Janeiro bogaci psychopaci wyścielili kosztownymi dywanami drogę od jej karety do sceny aby proch ziemski nie dotknął nóg Fedry" Gdzieindziej znów wywołano ją po przedstawieniu dwieście razy.

Rozumie się samo przez się, że nie było też takiej ohydy, której by o niej nie mówiono — jak o większości ludzi sławnych. W jednej plugawej broszurce podaje się do wiadomości czytelnikom, jakoby uwiodła papieża.. W dugiej — wylicza się jej dzieci: pierwsze od Piusa I. drugie od paryskiego fryzjera, trzecie od Napoleona III, czwarte wreszcie od ojcobójcy skazanego na karę śmierci. Mówiono, że najmilszą jej przyjemnością jest obcinanie głów angorom. Czego bo to nie mówiono o Sarze Bernhardt. W New Yorku pewien kaznodziej-kwaker przezwał ją publicznie „samicą diabła" i „nierządnicą babilońską".

W Orange-town został podczas jej występów zwołany wiec kobiecy dla rozstrzygnięcia zagadnienia — „jakim sposobem mamy się obronić przed Sarą Bernhardt, która przyjechała deprawować naszych mężów?"

Reasumując należy stwierdzić: była to wielka sława. Emil Zola nazwał ją najwybitniejszą artystką swych czasów. — Jednakże sława sceniczna jej nie wystarczała. Pisała romanse, przy czytniu których wielbiciele jej ze zgrozą złamywali ręce. Rzeźbiła. — Rodin, oglądając jej „arcydzieła" klął najgorszymi słowy, i odgrażał się, że wstąpi na scenę. Jednakże wydawcy płacili jej za powieści i artykuły znacznie więcej niż p. Marcelemu Proustowi. A rzeźby swoje sprzedawała drożej od Rodina i Alfons Rotszyld nie mógł uzyskać jej zgody na wyrzeźbienie jej popiersia.

Przed pół wiekiem rzuciła scenę na zawsze poraz pierwszy. Dziesięciokrotnie zamykała się w klasztorze. Spraw sądowych miała bez liku. Najczęściej za bójki — Sara w młodości biła się, jak dorożkarz. — Spała w trumnie z drzewa różanego, wyścielanej białym atłasem. W domu swym na B-d Pereyre urządziła prócz pracowni artystycznej także zwierzyniec z tygrysicą, leopardem i aligatorem — aligator zresztą wkrótce zdechł, upiła go szampanem. W kobiecie tej było wiele z Kleopatry i coś niecoś z bawiącego się moskiewskiego kupca.

„Tylko dwa czyny w jej życiu były takie same jak u wszystkich ludzi: urodzenie i śmierć", — pisał autor jej nekrologu w „Timesie".

A le i to nie zupełnie.

Zdaje się, że nikt niewie, gdzie przyszła na świat Sara Bernhardt. Jedni twierdzą w Paryżu, na rue de l'Ecole-de Medicine, czy też na rue St. Honore.

Dziadek jej był berlinskim Żydem, babka francuską markizą. (Thaei du Petitbois de la Nieuville).

A kim był jej ojciec również niewiadomo.

Sama zapewniała, jakoby metryka jej została spalona podczas pożru 1871 roku. Złe języki objaśniały po swojemu zagadkową wściekłość komunardów. W pamflecie, który w swoim czasie narobił wiele szumu i którego następstwem były. bójka, pojedynek i kontrpamflet, jedna z zagorzałych przeciwniczek wielkiej artystki twierdziła, jakoby Sara urodziła się w Berlinie.

Zmarła też nie jak wszyscy ludzie: w wieku lat siedemdziesięciu dziewięciu; uczyła się nowej sztuki pisanej wierszem, kilka dni przed śmiercią przygotowywała sie do filmowania. Mieli ją zdejmować w krześle: nie mogła już chodzić. Pochowano ją w tej samej trumnie z drzewa różanego, w której chowała tak drogie jej listy i kwiaty.

Trumnę odwiedziono do „rodzinnego grobu" — są pogłoski, jakoby tam była pochowana jej matka. Mów nad grobem nie było.

Sara Bernhardt surowo ich zabroniła.

Okazało się, że nienawidziła reklamy.

Reklama naturalnie odegrała niemałą rolę w jej życiu. Nic nadzwyczajnego. — Lamartine mówił: „Samemu Panu Bogu potrzebny jest dzwon".

Widziałem ją, zdaje się, niemal we wszystkich jej lepszych rolach prócz „Toski" i „Lorenzacoia". Ale prawdziwej Sary Bernhardt ludzie mojego pokolenia nie znali.

Czas prawie nic w niej nie oszczędził — nie oszczędził także jej głosu, którego jej w swoim czasie zazdrościła Patti

W młodości utrzymywał z nią bliższe stosunki pewien niezwykły, mało jeszcze oceniony człowiek.

Rozeszli się w krótkim czasie i więcej nigdy się nie spotykali. Po wojnie człowiek ten wpadł przypadkowo do teatru, zobaczył —p o czterdziestu latach! — Sarę na scenie — i zapłakał...

Tak opowiada, paryska legenda, zbyt zresztą poetyczna, aby być prawdziwą.

Pamiętam jej „Fedrę". Na stare lata bardzo rzadko występowała w tej swojej najznakomitszej roli. Ale kiedy grała „Fedrę" do teatru przychodzili jacyś przedpotopowi staruszkowie, jej rówieśnicy, z zachwytem patrzyli na boginię. Upajali się dźwiękami złotego głosu, wspominali przeszłość i po monologu urządzali żywiołową owację. Pamiętam moje rozczarowanie — głos Sary skrzeczał i zrywał się, s wymawiała jako sz.

Jest to — nawiasem mówiąc — ten sam monolog, który w „Wojnie i pokoju" Tołstoja na wieczorze u Ellen Bezuchow czyta m-lle George.

Tołstoj bardzo zjadliwie opisał sposób jej czytania, uporczywie udając, że nie rozumie cudownych wierszy Racine'a

Nie wiem, jak czytała George. Zapewne maniera jej zbliżona była do maniery Sary Bernhardt: obydwie związane są tradycją, która z śmiercią Bernhardt skończyła się.

Teraz już nikt więcej nawet we Francji tak nie czyta wierszy. Aktorzy dzisiejsi dążą do tego, by uczynić wiersze możliwie podobnymi do prozy, niwelując rytm i rym na korzyść sensu.

Gorzej od nowoczesnych aktorów czytają jedynie nowocześni poeci, z ich jednakowym śpiewnym tonem niezależnie od charakteru wiersza.

Ale w interpretacji starej kobiety, która była wielką artystką metal racine'owego wiersza dźwięczał wyraziście i dokładnie.

Myślę jednak, ż za najlepszych jej czasów główna siła wielkiej artystki wyrażała się nie w dykcji, lecz w geście. — Eleonora Duse miała więcej temperamentu dramatycznego; Tina di Lorenzo była zapewne ładniejsza, niż Sara w młodości. Ale takiej plastyki, takiego piękna ruchów nie zdarzyło mi się widzieć nigdy.

Główny jej czar, jedyne, co ocalało do ostatnich dni, tkwił w połączeniu gestu z uśmiechem, z sławnym uśmiechem Sary Bernhardt. Gdy Sara uśmiechała się, w pokoju robiła się jaśniej — jest to ogólnik, ale ogólnik w zupełności odpowiadający istocie rzeczy.

Zapewne uśmiech jej był na zawsze, na całe życie wystudiowany przed lustrem — Sara prawdopodobnie nie umiała się uśmiechać inaczej. Jeden raz w życiu miałem zaszczyt ujrzenia jej z bliska, nie na scenie; na komplementy ludzi absolutnie dla niez nieciekawych, być może nieznanych jej z imienia, stara, zgrzybiała kobieta odpowiadała tym swoim uśmiechem, tym samym, jakim uśmiechała się do Wiktora Hugo, czy Edwarda VII — i każdy miał wrażenie, jak gdyby się nagle zdarzyło coś radosnego.

Na scenie, moim zdaniem, najlepsza była ona w „Adrianne Lecouvreur" — być może dlatego, że dla tej roli nie potrzeba jej było przeobrażać się: sama ona była Adrianną Lecouvreur i to nie tą Scribee'a, lecz oryginalną. Życie Sary Bernhardt upłynęło w wieku dziewiętnastym, lecz z charakteru, z przygód, z rozumu, była ona ostatnią kobietą 18-go wieku.

Adriannę Lecouvreur przypominała ona także rozrzutnością, która jakoś dziwnie łączyła się u niej z dużym zmysłem praktyczności. Sara otrzymywała w Ameryce tysiąc dolarów za występ. Wtedy był to rekord. Obecnie rekord ten już dawno został pobity i wydaje się nieznacznym. Mauricowi Chewalier płacą o wiele więcej. Prawie nic nie zostawiła synowi. Zaję się że i dom, gdzie zmarła, był zastawiony kilka razy wraz z wszystkimi jego kolekcjami: zbierała obrazy i starożytności jeszcze wtedy, gdy za setki franków można było nabyć rzeczy warte setki tysięcy. Właściwie czasy te trwają po dziś dzień, — zmieniły się tylko imiona. Ale nie każdemu danym jest żyć 80 lat i doczekać się wzrostu cen kupionych niegdyś za grosze obrazów. Wiele z swych rzeczy sprzedała osobiście. Brylanty jej nieraz bywały w lombardzie i rozproszyły się jeszcze za jej życia na wyprzedażach.

Z wszystkimi swymi słabostkami i wadami była czarująca. Zazdrościły jej wszystkie kobiety świata, a zapewne na świecie nie było człowieka bardziej nieszczęśliwego od niej, kłębka obnażonych nerwów. Jako młodziutką dziewczynę lekarze skazali na śmierć, a w 60 lat potem uważała się za umierającą, kaszlała krwią i nie kładła się spać bez lekarstw i środków nasennych. Nieszczęśliwymi też były wszystkie jej miłości — chociażby ślub z Grekiem Damala, który wywołał niegdyś wszechświatową sensację. Piękny Grek był o wiele od niej młodszy. Wkrótce porzucił ją, wyjechał do Afryki, stoczył się na dno, został nałogowym morfinistą. Po wielu latach wyszukała go gdzieś w umeblowanych pokojach, przewiozła do siebie, otoczyła troskliwością, — u niej też umarł.

W spadku pozostawił jej swój paszport: Sara Bernhardt okazała się grecką poddaną i podczas wojny jej, jako „cudzoziemce" odmówiono udzielenia wizy. Sam Poincare musiał objaśnić odpowiednim władzom, że jednak Sary Bernhardt nie można uważać za Greczynkę.

Sławę dobyła nie łatwo i nie od razu. Po jej debiutach Franciszek Cearcey, czołowy krytyk teatralny tych czasów, a w przyszłości jej gorący wielbiciel, wyrażał w artykle ubolewanie „dlaczego w „Comedie Francaise" występują tak małowartościowe artystki, jak m-lle Bernhardt, z której i tak nic nie wyjdzie". Potem przyszła głośna, zbyt głośna popularność, która się wielu ludziom bardzo nie podobała. Charles Narray na łożu śmierci mówił do Aleksandra Dumas'a: „Jednakże cieszę się, że umieram — przynajmniej już nic więcej nie będę słyszeć o Sarze Bernhardt..."

Za to w ostatnich latach jej życia otaczał ją prawdziwy kult. Odegrał w tym naturalnie pewną rolę jej wiek. W Anglii wystarczy w ogóle dowolnemu człowiekowi być znanym 40—50 lat, prawie niezależnie od rodzaju jego popularności, aby stać się „drogim, starym" — takim a takim. We Francji nie jest w zupełności tak samo. Ale wrogowie Sary Bernhardt dawno już zamilkli, względnie umarli. Położyła ogromne zasługi dla sprawy francuskiej kultury W swoim czasie Briandowi było bardzo trudno wystarać się dla niej o order Legii Honorowej; teraz jest wprost trudnym zrozumieć, jak zmieniły się odtąd obyczaje i stosunek do aktorów.

Podczas wojny spotkało ją wielkie nieszczęście, po długiej i ciężkiej chorobie amputowano jej nogę. Wywołało to odruch sympatii i współczucia do starej kobiety. Wszyscy myśleli, że teraz pójdzie na spoczynek. Sara Bernhardt sceny nie rzuciła. Modni dramaturgowie, — Sacha Guitry, syn człowieka, którego uważała za największego artystę z pośród wszystkich jej znanych i L. Verneuil, mąż jej wnuczki, pisali dla Sary sztuki, w których mogłaby grać siedząc. Z sztukami tymi jechała do Stanów Zjednoczonych, do Kanady, Anglii, Hiszpanii. Robiła jeszcze kasę. Ludzie tłumnie przychodzili patrzeć na to cudo energii, na tę żywę legendę, n ate żywe prochy. Była uosobieniem starości. Czasem strasznym było na nią patrzeć. Po przedstawieniu wywożono ją w krześle i ze sceny. Pikowa Dama uśmiechała się tym samym sławnym uśmiechem do wściekle oklaskującej publiczności. Myślę, iż wszyscy czuli, że jest ona ostatnią artystką światowej miary, że wraz z nią kończy się wielka epoka w historii sztuki teatralnej.

W marcu 1923 roku zachorowała. — Jak zwykle bywa, już z pierwszego biuletynu lekarzy jasnym stało się, że więcej nie wstanie. Wywołało to ogromne wrażenie w Paryżu. Przed śmiercią prosiła, by uporządkowano jej trumnę, wyściełaną białym atłasem. Potem straciła przytomnośc. W malignie, na łożu śmierci, Sara Bernhardt deklamowała monolog Fedry.

Zmarła wieczorem 25 marca. Milion ludzi odprowadziło ją na cmentarz.

Teatr — Radio

Z teatru Bagatela

Gościnne występy słynnego teatru Habima z następującym programem: dnia 17 bm. tj. w niedzielę o g. 4 i 8 „Uriel Acosta" Guczkowa. Dnia 18 bm. tj. w poniedziałek o g. 4 i 8 „Dybuk" Anskiego. Dnia 19 bm. we wtorek o g. 8 „Korona Dawida" Caldérona. Dnia 20 bm. tj. we środę o g. 8 „Uriel Acosta" Guczkowa.

Bilety do nabycia w kasie teatru Bagatela.

* * *

Święta w Teatrze im. J. Słowackiego

W pierwszy dzień świąt Wielkiej Nocy, w niedzielę wieczorem dany będzie głośny utwór Zygmunta Nowakowskiego „Gałązka rozmarynu", w inscenizacji i reżyserii autora, w premierowej obsadzie.

W drugi dzień świąt, w poniedziałek popołudniu „Czemu kłamiesz najdroższa" pełna humoru komedia muzyczna, w reżyserii W. Radulskiego z p. Matusiakówną, S. Czajkowskim, t. Wernicz, K. Fabisiakiem, T. Kondratem, W. Macherskim, A. Possartem i A. Żukowskim.

W poniedziałek wieczorem, arcydzieła Racine'a „Fedra". W sztuce opracowanej przez dyr. K. Frycza występują: J. Jaroszewska w roli tytułowej, oraz A. Kleńska, W. Nowakowski, S. Czajkowski, W. Macherski, M. Bednarska, I. Starkówna, M. Kierzkowa.

We wtorek powtórzenie ostatniej premiery sztuki T. Wołowskiego „Piosenka o kadecie", w reżysrii W. Radulskiego.

Plan przedstawień: Niedziela 17. IV. wiecz. „Gałązka rozmarynu". Poniedziałek 18. IV. popoł. „Czemu kłamiesz najdroższa", wiecz. „Fedra". Wtorek 19. IV. „Piosenka o kadecie".

—O—

Radio

I. DZIEŃ WIELKIEJ NOCY

Niedziela, 17 kwietnia 1938

8.20 muzyka poranna. 9.00 transmisja z Watykanu uroczystości kanonizacyjnych bł. Andrzeja Boboli. 12.00 „Wielkanoc" opowiadanie Marii Dąbrowskiej. 12.20 „Świąteczne nastroje" w wyk. orkiestr. 14.30 prosimy na pisanki i z masełka baranki wesoła audycja dla dzieci. 15.00 słuchowisko dla wsi. 15.30 do słuchu i do tańca. 17.30 „Wielkanoc wileńskiego diabła" słuchowisko Zofii Bohdanowiczowej. 18.00 „przekładaniec wielkanocny" zbiorowa audycja muzyczna ze wszystkich rozgłośni polskich. 20.00 „Wielkanoc na lądach i morzach" audycja słowo-muzyczna. 21.00 ze Lwowa: „Ta—joj" wesoła audycja w opr. Wiktora Budzyńskiego. 21.30 koncert solistów. 22.30 muzyka taneczna.

II. DZIEŃ WIELKIEJ NOCY

Poniedziałek, 18 kwietnia 1938

8.05 koncert. 9.00 transmisja nabożeństwa z kościoła Po-Bernardyńskiego p Wilnie. kazanie wygł. ks. biskup Michał Godlewski, prof. U. J. 10.30 muzyka. 11.10 „Przyszliśmy tu po dyngusie" audycji muzyczno-literacka w opr. Stanisława Wasylewspiego. 12.03 poranek muzyczny. 13.00 „Służki wiosenne" audycja dla dzieci. 13.20 koncert rozrywkowy. 15.00 „Dygnus, śmigus" audycja słowno-muzyczna. 15.25 koncert rozrywkowy. 16.00 „Jak Zbójnik Nołowacz biesa zabił" premiera słuchowiska w/g dramatu „Pieśń o Hołowaczu" Jana Brzozy. 16.30 recital wiolonczelowy Józefa Mikulskiego. przy fort prof. Ludwik Urstein. 17.30 podwieczorek przy mikrofonie. Wykonawcy. Mała ork. PR., pod dyr. Zdz. Górzyńskiego, Wanda Wermińska (sop.), Zofia Terne (piosenki), Jerzy de Larzac (baryton), Henryk Ładosz (humor i konferencierka). 19.05 operetka „Złoty Młyn", muzyka Leona Jessel'a, tekst Wiesława Góreckiego. Kierownictwo muzyczne Włodzimierza Ormickiego. Osoby: Krzyś — Adam Książkiewicz, Kasia — Emma Wohriska-Ormicka, Marcin — Antoni Wolak, Zuzia — J. Kaliszowa. 20.15 „Wesoła wdówka" operetka w 3-ch aktach Franciszka Lechara. 22.30 muzyka. 23.00 muzyka taneczna.

Wtorek, 19 kwietnia 1938

13.45 muzyka. 14.50 muzyka. 15.05 „czy wiecie, że..." w opr. dr. Jana Reguły. 15.45 Rzeczy ciekawe z 5-ciu części świata, audycja dla dzieci. 16.15 Utwory salonowe na 4 ręce w wyk. Zofii Romanowskiej i Jerzego Sulikowskiego (fortepian). 17.00 koncert. 17.50 Głuszce grają wygł. Jerzy Dylewski 18.15 koncert muzyki hiszpańskiej w wyk. orkiestry mandolinistów polskiej Y. M. C. A. pod dyr. Mariana Kosteckiego z udziałem J. Marmora (fort.). 19.00 Don Juan Lorda Byrona w opr. Andrzeja Tretiaka, prof. U. J. P. 19.30 pieśni francuskie w wyk. Włodzimierza Derwiesa przy fort. prof. Ludwik Urstein. 20.00 koncert rozrywkowy. 21.00 koncert somfoniczny. 22.00 muzyka taneczna. 23.00 muzyka taneczna.

Straszna katastrofa samochodowa

Kiszyniów PAT. Na linii kolejowej Belgrad-Reni lokomotywa najechała na autobus, jadący z Galacu. W autobusie znajdowało się wiele kobiet-wieśniaczek, które jechały po zakupy świąteczne, 5 kobiet zginęło na miejscu, 12 innych odniosło ciężkie rany, 5 z pośród nich zmarło w szpitalu.

Wielkanocne orędzie prezydenta Roosevelta

Waszyngton Pat. Z okazji świąt wielkanocnych prezydent Roosevelt opublikował przez radio orędzie, w którym zaapelował do narodu amerykańskiego, by zjednoczył się w obliczu trudności gospodarczych. Prezydent wyjaśnił powody, które go skłoniły do wystosowania ostatniego orędzia do kongresu wskazując mianowicie, że ponieważ przedsiębiorstwa prywtane nie zdołały zapewnić pracy tysiącom bezrobotnych, — nie mógł czekać aż rząd straci możliwość działania. Prezydent poddał krytyce nadprodukcję w r. 1937 spowodowaną przez wielkie trusty, oświadczając że dzisiejsze zagadnienia gospodarcze wymagają współpracy obywateli i rządu. Stany Zjedn. cierpią na osłabienie konsumcji, spowodowane spadkiem zdolności nabywczej ludności. Dlatego to niezbędne jest kontynuowanie pomocy dla bezrobotnych oraz popieranie wzrostu zatrudnienia, celem zwiększenia zdolności nabywczej świata pracy. Prezydent odparł zarzuty jakoby dążył do dyktatury, oświadczając, że jest to całkowicie sprzeczne z duchem amerykańskim.

—O—

Marszałek Czang-Kai-Szek ranny!

Tokio Pat. Przedstawiciel ministerstwa spr. zagr. oświadczył dziennikarzom, iż wedle wiadomości z wiarogodnego źródła marsz. Czang Kai Szek został ranny w obie nogi podczas bombardowania m. Czansza przez wodnosamoloty japońskie w dn. 10 b. m. minister finansów i szwagier marsz Czang Kai Szeka T. V. Sung został ranny w brzuch i w prawe ramię.

—oOo—

Życzenia dla „Pierwszaków"

Komendant Oddziału Koła 1. p. p. Leg. w Krakowie składa tą drogą wszystkim Członkom życzenia „Wesołego Alleluja".

—oOo—

Zabawa Taneczna

Związek Zawodowy Pracowników Umysłowych Sławkowska 6. Sekcja Tennisa Stołowego urządza dnia 18. IV. w lokalu własnym wieczornicę taneczną, połączoną z licznymi niespodziankami. Początek o g. 17.30. Goście mile widziani.

Wyniki Turnieju Szachowego o mistrzostwo Krakowa

Scheier 8 i pół (—2 i pół), Rubinstein 8 (—3), Friedmann 7 i pół (—3 i pół), Październy 7 i pół (—3 i pół), Mgr. Armatowski 7 (—4). Bass (7 (—4), Rath 7 (—5), Weissberg 6 i pół (—3 i pół), Błaszczak 6 (—5), Nowak 4 (—6), Abraham 3 i pół (—5 i pół), Chmielek 3 (—9), Flaschen 2 i pół (—7 i pół), Weinberger 1 (—8), Kurlit 0 (—11).

—oOo—

Na krakowskim bruku.

Przedświąteczne kradzieże

Wczoraj dokonano kradzieży rowerów pozostawionych bez opieki a to: z ul. Starowiślnej rower wart 60 zł. na szkodę Stanisława Bobera przy ul. Kraszewskiego l. 9. Jeden rower wart. 180 zł. z ul. Grodzkiej, na szkodę Józefa Luzara zam. przy ul Basztowej 9. Z ul. Karmelickiej jeden rower wart. 150 zł. na szkodę Włodzimierza Czubryka, zam. przy ul. Wybickiego l. 48. Tego samego dnia o godz. 17 skradziono wiszący na ganku dywan wart. 120 zł. na szkodę Dory Friedriych, zam. przy ul. Kordeckiego l. 5.

Schwytany na gorącym uczynku

Policja aresztowała Wójcika Antoniego, lat 27, bez zajęcia i stałego miejsca zamieszkania z narzędziami do włamania w czasie wyprawy złodziejskiej. Bratosza Piotra, lat 18, bez zajęcia i stałego miejsca zamieszkania za kradzież walizy z naczyniami kuchennymi.

Przed kilku dniami znaleziono kilkadziesiąt złotych w kościele Panny Marii, którą to kwotę złożono w I. Komisariacie przy ul. św. Jana l. 13, gdzie poszkodowani winni się zgłaszać w godzinach urzędowych celem rozpoznania.

Rehabilitacja kupca z Katowic

(Z. S.) Przed Sądem okręgowym karnym w Katowicach toczyła się przez okres 3 tygodni rozprawa przeciwko eksporterowi bydła p. A. Fruchthändlerowi, współwłaścicielowi i dyrektorowi firmy „Boś Ski z o. o. w Krakowie w związku z głośną aferą nadużyć na Centralnej Targowicy w Mysłowicach.

Wczoraj ogłoszony został wyrok w Sądzie okręgowym w Katowicach, mocą którego dyr. A. Fruchthändler, oskarżony o milionowe nadużycia został od oskarżenia powyższego uwolniony, natomiast został jedynie uznany winnym z § 269 k. k. tj. za namierne wydatkowanie kosztów podróży i zasądzony na karę aresztu przez 4 miesiące, umorzonego aresztem śledczym.

Dyr. Fruchthändler odpowiadał z wolnej stopy i wobec uwolnienia go przez Sąd od zarzutu sprzeniewierzenia i działania na niekorzyść interesów Centralnej Targowicy w Mysłowicach z chęci zysku dyr. Fruchthändler jest w zupełności w opinii publicznej zrehabilitowany.

—oOo—

Dr Nina Krąkowska

Trochę Arona...

Do tramwaju na Mokotowie wsiadła stara kobieta z jakimś ciężkim tobołem... Biedna była ubrana, bo biednie, ale bardzo czyściutko i tak jakoś — akuratnie... Typ miała wybitnie żydowski — z tych poczciwych babuleniek żydowskich, co przechodzą przez życie bez hałasu, bez gniewów, bez zawiści, — tylko z rozrzewnieniem i bło gosławieństwem... Oczy miała ciemnochabrowe, dziwnie pięknie pod gęstymi, czarnymi brwiami i dziwnie smutne... a usta jej lekko drżały, i pomarszczona kształtna ręka raz wraz odruchowo przyciskały serce...

Spotkała moje pytające spojrzenie — i wytłumaczyła się wstydliwie i nieśmiało:

— Zdenerwowałam się, proszę pani... Co robić?... Zdenerwowałam się... takie czasy.... na każdym kroku człowieka coś takiego spotka... na każdym kroku!.... nawet kiedy człowiek nikomu nic nie mówi i niczego się nie spodziewa... a jak ja się zdenerwuję, to mnie zaraz, o, tu — bardzo boli...

Już się jej nie pytam, co się stało... Mam oczy, chodzę ulicami, — widzę niejedno... Co nowy dzień, to nowy wstyd!...

Ale trzeba jej przecież coś powiedzieć... patrzy na mnie badawczo i nieśmiało chabrowymi swemi oczami — i czeka, czy usłyszy słowo zrozumienia... czy też padnie jakieś słowo, które znów ją — zdenerwuje... i w serce urazi...

Szukam więc w zakłopotaniu — takiego słowa, które — aby choć nie uraziło... i odpowiadam, — ot, tak sobie, po doktorsku:

— Trzeba serce oszczędzać, proszę pani, — i byle czem się nie przejmować...

— Ach, żeby to człowiek mógł, — odrzekła cicho. — Żeby to w mojej było mocy... kiedy — dosięga!...

— A właśnie, — trzeba sobie tak powiedzieć: źle jest, bo źle, ale moje zdenerwowanie na to nic nie pomoże, — to poprostu nie będę zwracać uwagi... Pani wie, — jak pies się na panią rzuci, a pani się zlęknie i zdenerwuje to będzie się jeszcze gorzej rzucał, a jak przejdzie spokojnie — to przestanie... tak też i zły człowiek... kobieta zaprzeczyła ruchem głowy.

— Oj, nie, proszę pani... Pies — co innego, a zły człowiek — co innego!... Pies, jak się rzuca na obcego, to on jest w porządku, bo to jest jego obowiązek, — a człowiek, jak komu złe słowo rzuci, to to jest tylko jego łobuzerska satysfakcja, — i to drugiego człowieka w same serce urazi... bo tak sobie myśli: „za co?... no, za co mi to?... i musi się denerwować...

— Ja to rozumiem pani droga, — ale trzeba się starać taką siłę w sobie wyrobić, żeby łobuzerskiego słowa do serca nie dopuszczać, — prawie jej beznadziejną, jałową naukę... bo i co innego jej powiem?

A ona się nad tym zastanawia poważnie. — i po namyśle odpowiada:

Ma pani rację, — ja sama wiem, że tak byłoby lepiej... i lżej... Ale skąd właśnie tej siły wziąć? Niema jej z czego zaczerpnąć... bo przecież w człowieku nic się samo nie rodzi, tylko człowiek musi z ludźmi żyć, i z ludźmi obcować... i z tego otoczenia i słodyczy, i goryczy nabiera... Prawda?... I musi mieć, do kogo przemówić i musi wiedzieć, że jak się komu dobre słowo da, to i nawzajem dobre słowo się otrzyma... A tu — takie czasy... Niema z kim się rozmówić, — choćby nie wiem jak dusza dobrej rozmowy pragnęła... bo wszędzie na ciebie czeka jakieś słowo ordynarne, urągające... nieżyczliwe, — i nie wiadomo, od kogo i za co... takie czasy!... To skąd tu nabrać siły, żeby to spokojnie znosić... te ordynarne słowa... te pogróżki?

I patrzy mi w oczy, zatroskana, i pochyla się do mnie w oczekiwaniu odpowiedzi, — a ja... cóż ja jej powiem?...

Myślę — i milczę, bo nie mam słów...

Ale i ona myśli też... i przysuwa się do mnie bliżej...

— Ja pani coś powiem, — zaczyna z ożywieniem, jakoś ufnie i serdecznie. — Coś pani powiem... Może pani coś czytała, czy słyszała, — że u nas był taki — Mojżesz?... ja przepraszam, że pytam, — bo z naszych to każdy o nim wie, — ale ja przecież widzę, że pani.... i urwała, zażenowana...

Zapewniłam ją, że wiem... Aż się rozpromieniła.

— No, widzi pani!... Taki człowiek, — kto o nim nie wie!... Ale on miał też brata Arona... Czy pani o nim też czytała?... No, to dobrze, to pani już może zrozumieć, jaki to był wielki człowiek, — samego Mojżesza brat!... jak on wysoko u ludzi stał, jaki był wielki i mądry... Ale on z całym narodem żył, jak równy z równymi... Mojżesz tego nie mógł, — on przecież losy całego narodu na swej głowie miał, on, Mojżesz z Bogiem rozmawiał, on święte księgi pisał... A jak z narodu kto czego chciał, to tylko do Arona... i Aron do ludzi z całem sercem... Tylko że w każdym narodzie i we wszystkie czasy — musi być swoja łobuzeria... ja już nie wiem, dlaczego tak jest, — ale łobuzerię każdy naród musi mieć... to i tam w tej pustyni, u Żydów też łobuzeria była, ot tacy nic dobrego, co to od nich wszyscy porządni ludzie się odwracali i zadawać się z nimi nie chcieli.... No, i co pani myśli?... Ten Aron akurat najlepszą miał przyjemność, — z tą łobuzerią w przyjaźni żyć... Tak sobie po koleżeńsku z nimi przestawał i rozmawiał, i rozumował, jak równy z równymi... to poważni ludzie się nawet dziwili, i nawet mu to za złe brali. — że niby to nie dla ciebie kompania, takie łobuzy ordynarne... A Aron nic, tylko swoje robi... A te łobuzy to go też przestali szanować, bo mówią:... co wielkiego?... to przecież jest nasz kolega!... taki sam, jak my!... I bardzo często nawet dość ordynarnie go potraktowali, bo jak kto jest łobuz, znaczy — sam siebie nie szanuje, — to jak on będzie swego kolegę szanował? Ale Aron tego do serca nie brał, bo przecież sam o siebie wiedział, że to on jest, to mu nic takiego ubliżyć nie mogło... Ale ciągle tę swoją łobuzerię nauczał, mądre słowo im dawał, i miał dla nich wielką cierpliwość, a tym tam poważnym ludziom, co mu ciągle tę niepiękną kompanię wytykali, to tak tłomaczył, że niby co ten biedny łobuz, każdy — jeden, winien, że jest łobuzem, kiedy go może nikt dobrych obyczajów nie uczył, ani żadnego okrzesania, ani dobrego przykładu nie dał, a gdy jakiego kolegę ze swojej partii miał, to ten kolega jeszcze poszczuwał do złego — i tyle? To co on temu winien, że taki ciemny jest? I tak ciągle z nimi przebywał i na kpiny nie zważał, i nie dawał im nawet odczuć, że jest od nich mądrzejszy, i z lepszy sfery... I pani co myśli, moja pani kochana?... Jak z tej łobuzerii nie zaczną jeden po drugim do rozumu dochodzić, i grubiaństwa się wstydzić!... Jak nie zaczną się zastanawiać, że może Aron, nasz kolega, więcej wart od nas, — to i nam wypada, żeby takiemu kolegowi dorównać, i dobre obyczaje od niego przyjąć... I tak coraz lepsi się robili, a Aron się cieszył, że choć mu to ciężko przyszło, ale nie na próżno cierpiał, i niejednemu ciemnemu przez tę swoją cierpliwość oczy otworzył...

— A widzi pani!... widzi pani!... — podchwytuję, uradowana.

— Widzę, och widzę, — wzdycha kobieta. — Ależ to był Aron... to wielki człowiek... i miał wielką siłę... A my co?.. Oj myślę ja o tem nieraz, myślę... Skądby tu taki siły wziąć, żeby aż całego Arona w swojej duszy zmieścić?... Niech mi pani powie...

— Cóż ja pani powiem? I jabym też chciała... Ale na całego Arona — i moja dusza zaciasna...

Kobieta się nagle, niespodziewanie uśmiechnęła, — tak jakoś się promiennie uśmiechnęła cała — i temi swemi oczami chabrowemi, i temi dobrymi ustami...

— Już wiem, moja pani, już wiem, jak sobie poradzimy... Na całego Arona — to śmy zasłabe, bo i któżby, naprawdę, arONowej sile dorównał?... Ale trzeba się starać, żeby choć trochę Arona mieć w duszy, — prawda?... Choć trochę Arona... Oj, co jest? Już Wspólna?... Ja tu wysiadam... Oj, jaka szkoda!... Chciałabym jeszcze z panią porozmawiać... No, do widzenia!...

I, już cisnąc się do drzwi ze swym przyciężkim tobołem, obejrzała się na mnie, kiwnęła głową przyjaźnie — i powtórzyła z przekonaniem:

— Trzeba mieć w duszy — choć trochę Arona... bo bez tego, — jak tu wytrzymać?! Takie czasy!... a i co ten biedny łobuz ciemny winien?!

Uzupełnienie historyczne

W ub. tygodniu zmarł ks. Leon Piniński. Pisma, podając jego nekrolog, pisały, że był estetą, zbieraczem dzieł sztuki, mecenasem, muzeów, wspominając tylko mimochodem, że był także namiestnikiem Galicji. A jednak to jego namiestnictwo miało poniekąd historyczne znaczenie, było ostatnią większą próbą pokonania socjalizmu w Galicji w ogólności i odebrania tej trochę wywalczonej wolności w szczególności. Dla obecnego pokolenia są to rzeczy prawie obce, a jednak są pouczające i nie można ich pominąć, gdy się pisze o Pinińskim.

Lato 1898. Na świecie toczy się wojna amerykańsko-hiszpańska. Daleko bo daleko, ale mimo to wszyscy wojną się interesują i — oczywiście z wyjątkiem klerykałów — życzą Ameryce zwycięstwa. Nagle jak grom z jasnego nieba spada wiadomość i w trzech miastach Galicji zachodniej: w Nowym Sączu, Limanowej i Mszanie Dolnej wybuchły rozruchy antyżydowskie — rabowano sklepy żydowskie, bito Żydów. Władze natychmiast wkroczyły i położyły kres rozruchom. Okazało się, że ktoś chłopców rozagitował; przychodzili przecież do starostwa z zażaleniem, że żandarmeria nie pozwala im rabować sklepy żydowskie, mimo; że „sam cesarz“ na to pozwolił.

Zdawało się, że smutny epizod przeminął bez większych następstw. We Lwowie jednak w pałacu „pod kawkami“ (tak nazywano gmach c. k. namiestnictwa) postanowiono wyzyskać okazję dla ukręcenia łba hydrze socjalistycznej. Istotnie, socjalizm zrobił był znaczne postępy, szczególnie w Krakowie po wyborze Daszyńskiego w r. 1897 socjalizm zdobył silną pozycję i dwutygodnik „Naprzód“ był biczem bożym na panoszącą się burżuazję i biurokrację, stowarzyszenia i organizacje rosły jak na drożdżach, zgromadzenia ludowe były masowe.

Postanowiono więc zwalczyć ten ruch zapomocą wypróbowanego środka: stanu wyjątkowego. I tak też zrobiono z grubym naddatkiem. Mimo że rozruchy objęły tylko 3 powiaty, stanem wyjątkowym objęto 27 powiatów oraz miasto Kraków, gdzie panował idealny spokój.

Zaczęła się zwykła w takim stanie samowola: „przede wszystkim zawieszono „Naprzód“, rozwiązano stowarzyszenia, zakazano zgromadzeń, wybitniejszych działaczy, o ile nie byli przynależni do Krakowa, wydalono z miasta, przynależnych zaś konfiniowano tj. zakazano im opuszczać miasta.

Aby jeszcze spotęgować grozę sytuacji i jeszcze bardziej ludzi przerazić, namiestnik sprowadził kata z Wiednia. Zdarzyły się przytym zabawne historie: oto kat przyjechał do N. Sącza i zameldował się u namiestnika, gdy ten z rodziną starosty siedział przy kolacji. Efekt był piorunujący: p. starościna zemdlała. Kazano katowi osiąść tymczasem w Tarnowie. Stanął w najlepszym hotelu i poszedł do restauracji hotelowej na obiad. Na jego pojawienie się na sali goście zebrani przy obiedzie uciekli w dzikim popłochu, nie dokończywszy obiadu.

Te prowokacyjne przygotowania i demostracje z katem nie potrafiły jednak doprowadzić do zamierzonego celu: do zdławienia socjalizmu. Umiano sobie poradzić. „Naprzód“ wydawano we Lwowie i cudownymi sposobami przemycano do Krakowa. Tu pozostał Daszyński, którego jako posła nie można było wydalić, podtrzymując zamknięte stowarzyszenia i dodając ludziom otuchy do wytrwania. I wytrzymałość zwyciężyła i stan wyjątkowy ostatecznie zniesiono i wróciło panowanie normalnych praw. „Naprzód“ wrócił do Krakowa. Stowarzyszenia i związki wyszły z podziemi, zgromadzenia znów się odbywały. Piniński nic nie wskórał.

Epilog tej niezwykłej sprawy rozegrał się w parlamencie wiedeńskim Daszyński wniósł siarczystą interpelację i zgłosił wniosek o postawienie rządu (hr. Franciszka Thuna) w stan oskarżenia. Naturalnie, że Thun bronił swego protegowanego Pinińskiego, parlament zaś — głównie głosami Koła polskiego, odrzucił wniosek o postawienie rządu w stan oskarżenia.

Piniński jeszcze przez kilka lat pozostał namiestnikiem. Kariera jego złamała inna, daleka od polityki historia, której jako wchodzącej w zakres życia prywatnego powtarzać nie będziemy. Ale o Pinińskim politykę trzeba było napisać. Niech i obecne pokolenie wie, że umarł nietylko pięknoduch i mecenas, ale człowiek, który znacznie i nieszczęśliwie zaciążył na życiu Galicji.

F.

—oOo—

Irena Szczepańska.

Płaczący pies

Pobyt na wsi to najlepsza platforma wielkiego ludzko-zwierzęcego porozumienia. Zatracają się w sielskości nastroju różnice języków. Zrównują się sposoby wyrażania uczuć i myśli. Ludzie podnoszą się do prymitywu zwierząt, zwierzęta zniżają ją się jedną, wielką, rodziną, o wspólnych się do śmiesznej megalomanii ludzkiej i sta. wartościach i analogicznych przeżyciach.

Najpotężniejszą rolę w tem porozumieniu ludzko - zwierzęcym odgrywa oczywiście — pies!

W życiu każdego z nas, był napewno jakiś kundel pospolity, zabłąkany, przybyły niewiadomo skąd, a stwarzający w naszem szarem istnieniu, piękną legendę o nieznanym, wiernym psie.

Ten pies był oczywiście również kundlem. Nie umiał wycierać łap na słomiance, gdy wracał z dalekich, wiejskich dróg. Nie umiał służyć, prosząc o kawałek cukru i nigdy nie tańczył chcąc dopędzić swój wyłysiały, brudny ogon.

Otrzymano go w spadku. Został na cichej plebanii, w odległej od „szalejącego tłumu" wiosce góralskiej, pachnącej wielką, kwiecistą łąką. Wraz z nim zostały na plebanii martwe rekwizyty. Świece woskowe, pogryzione przez myszy. Połamane krucyfiksy w zapleśniałym pudełku, peleryn ki duchowne schroniska dla bezdomnych moli i kilka pożółkłych brewjarzy, w których już nawet liter nie można było odcyfrować.

Rodzina zmarłego księdza rozdała cenniejsze przedmioty parafianom. Zostało jedynie trochę śmieci i pies. Nikomu nie potrzebny, mały, brudny i cichy.

Nowy gospodarz plebanii był kanonikiem umiejącym cudownie sharmonizować swą tryskającą radość życia z wielkim zrozumieniem cierpiących serc ludzkich i nieludzkich.

Wielkich, niemal pałacowych pokojów plebanii nie zamieniał w salony. Pokoje te stały się za niego przystanią dla wszystkich ludzi i zwierząt w parafii.

Więc dla nas też. Spędziliśmy u niego lato. Lato pachnące i razowe. Zdrowe, twarde i czarne.

Kanonik miał całą sforę psów, choć nie chadzał na polowania, nie pilnował sadu, a do domu i tak każdy mógł wejść, więc poco psiej straży.

Już pierwszego poranku naszego pobytu na plebanii, wszystkie psy wtargnęły do naszego pokoju. Figa, wspaniały pies z Góry św. Bernarda, wysokości młodej jałówki, Mars, biały owcarz i Neron czarny dog niemiecki.

Bezimienny, odziedziczony kundel zatrzymał się w drzwiach. Nie śmiał podejść do nas w obecności wspaniałych towarzyszy. Był tu wprawdzie gospodarzem, zasiedziałym od lat, jednak podziw i nieśmiałość odbierały mu siły.

Patrzył na wspaniałe psy z bolesciwym szacunkiem, jakiego musiał doznawać biedny chłop, gdy chatę jego zamieniono nagle na kwaterę wspaniale umudurowanych żołnierzy.

Przez pierwsze dnie nie zbliżał się do nas. Ale był zawsze w naszym promieniu. Mały, brudny i cichutki.

Zwolna począł układać się ciepłym kłębuszkiem pod naszymi stopami. Aportować rzucane kamyki i połykać rzucane mu zielone śliwki. Wyraźnie skokietował nas swoją uprzejmością i chęcią wspólnej zabawy.

Oczywiście po dwóch dniach oswoił się zupełnie. Nawet był mniej brudny, odkąd zaczął wycierać się o nasze białe suknie i tarzać po koronkowych kapach, narzucanych na nasze łóżka. Przestał być również cichutki, co mu zresztą wcale nie ujmowało swoistego wdzięku.

Przywiązał się do nas tak bardzo, jak tylko potrafi się przywiązać osierocony, brzydki kundel wiejski, gdy zwęszy prawdziwą serdeczność, którą się go darzy. Nie rozstawał się już z nami zupełnie, wyprzedzając w tym wyścigu psich uczuć bernardyna, doga i owczarza.

Aż pewnego dnia naprzykrzył się nam nadmiernie swą czułością. Brak umiarkowania uczuć, to śmierć wzajemności. Tej prawdy nie znają ani ludzie, ani zwierzęta. I tak ci, jak tamci nie rozumieją tego nagłego zatrzaśnięcia się przed nimi serca, co jest najprostszą reakcją przeciw przesytowi.

Nasz kundel przebrał wszelkie możliwe miary i granice. Dając nam tak dużo, wymagał wiele. Przede wszystkim wiele pobłażania dla jego psich figlów, które nam począł płatać nieustannie. Przerywał kłębki kolorowej bawełny, rozrywając je na strzępki, chwytał nas za łydki, lub z głośnym ujadaniem wypadał na nas znienack, strasząc nas nielada.

Dostał w skórę. Zresztą nie żadną dyscypliną, ani kijem. Poprostu parę klapsów wlepiono mu, za niestosowne zachowanie. Jak dziecku.

Spojrzał zdumiony. Ani nie warknął, ani ogonem nie kiwnął, tylko popatrzył i poszedł.

Po kilku godzinach spostrzegliśmy zbyt długą nieobecność psa. Zaniepokoiliśmy się jego losem. Lecz napróżno nawoływaliśmy go ze wszystkich stron.

Pies zniknął.

Tymczasem zapadła noc nie rozświetlona gwiazdami i zakrywająca księżyc szaremi dłońmi chmur. Wyruszyliśmy na poszukiwanie psa z wielkimi latarniami, używanym w stajni w nocy, kiedy przychodziły na świat maleńkie źróbki, lub śliczne jałówki.

Poszukiwaniom naszym przypatrywała się z lekceważącym podziwem dziewczyna od krów. Nazywała się Wikta. Kochała po prostu swoje krowy, jak dzieci. Myła je i czesała, zawiązywała im wielkie kokardy ze strzępów swej spódnicy i przemawiała do nich pieszczotliwie. Gdy padał deszcz, wypuszczała na pastwisko po jednej krowie i trzymała nad nią wielki, wystrzępiony parasol, przywieziony z odpustu. Dla psów natomiast nie miała najmniejszego zrozumienia. Przeciwnie. Byli to wrogowie, czyhający na jej ukochane krowy, wpędzający je w szkodę i płoszący z pastwiska.

Widząc jednak nasze zmartwienie, Wikta wskazała nam ręką cmentarz. Zdziwieni po dążyliśmy za jej wskazaniem.

Wiejski cmentarz nie jest groźny nawet o północy. Krzyże obrośnięte zielenią i dzikimi różami, są zbyt łagodne, by mogły wywołać lęk.

I tu istotnie odnaleźliśmy naszego psa. Leżał na grobie swego pana, zmarłego przed laty księdza i... płakał. Wielkie, prawdziwe łzy spływały z jego oczu i wsiąkały w ziemię mogiły.

Wikta twierdziła, że pies chodzi często na cmentarz. Głównie wtedy, gdy mu ktoś zrobił krzywdę. Chodził żalić się na grób pana. Ale nie zawsze wizyty jego mają tragiczny charakter. Czasem rozciąga się na mogile i mruczy coś przez zęby, kiwając ogonem. Niekiedy zasypia i przez sen wyszczekuje coś radośnie. Może widzi we śnie postać zmarłego pana? Któż może wiedzieć?

Jeszcze tak mało wiemy o snach i wewnętrznych przeżyciach naszych najserdeczniejszych przyjaciół.

Pies nie żył długo. Jeszcze tych wakacyj przestał dychać. Nikt nie wiedział z jakiej przyczyny. Przecież się tylu, tylu rzeczy nie wie....

—oOo—

A na to nikt nie wpadł...

Pewien mieszkaniec Nelmangi rozpalił ognisko i związany rzucił się w nie by się spalić na węgiel.

Jakiś kupiec lioński pozbawił się życia połykając banknoty. Podczas sekcji znaleziono u niego w gardle i żołądku 100 i 1000 frankowe.

Kto inny znowu powiesił się za nogi głową na dół, czekając, aż napływ krwi do głowy pozbawi go życia.

W Japonii dwoje unieszczęśliwionych rzuca się do krateru wulkanu, bo rodzice nie pozwolili im się pobrać.

W Marienbadzie jakiś Grek złapał w aptece, korzystając z nieuwagi całą butlę chloroformu i naturalnie zapadł w wieczny sen.

Pewien fabrykant piwa topi się w zbiorniku, zawierającym 500 litrów piwa.

Albo znowu samobójstwa tajemnicze. W jakimś miasteczku francuskim pewien człowiek przebiera się za kobietę, kładzie się do łóżka obok dziecka swego znajomego i odkręca gaz.

W Zagrzebiu ktoś powiesił się na drzewie, stawiając nad sobą parasol.

I tak dalej. Starzy, młodzi, znani, nieznani, strzelają się, trują się, mordują, wieszają się, otwierają żyły. Odchodzą w sposób prosty, jak pracz-ki, zamykając przedwcześnie piec, zdobywają się na najbardziej rafinowane sposoby, byle tylko opuścić ten świat złudzeń.

Mądrzy, głupi, inteligenci, analfabeci, mężczyźni, kobiety — wszyscy wymyślają coraz nowe sposoby, coraz nowe, udoskonalone metody samobójstwa.

A na to nikt jeszcze nie wpadł — wymyślić nowy sposób, by szczęśliwie i dobrze przeżyć to jedno, jedyne życie, które jest udziałem człowieka.

(ON).

Opał... na wiosnę

Zdawałoby się, że drzewa w Sowietach nie brak. Okazuje się jednak, że dostawa drzewa opałowego do większych miast jest zupełnie zdezorganizowana. Jak donosi „Wieczerniaja Moskwa", pewna obywatelka zamówiła 12 lutego w składzie opałowym nr. 106 metr sześcienny drzewa. Obiecano jej dostarczyć drzewo na 24 lutego. Drzewa wszakże dotychczas nie otrzymała i wszelkie starania nadal nie odnoszą żadnego skutku. Można więc sobie wyobrazić, ile czasu należy czekać przy większych zamówieniach.

—oOo—

Prasa sowiecka krytykuje pracę wojsk. komisarzy politycznych

Moskwa Pat. „Krasnaja Zwiezda" krytykując prace komisarzy politycznych w armii, daje m. in. przykład, że komisarz Stiepanow w białoruskim okręgu wojennym nie troszczy się o byt żołnierzy. Jadłodajnia żołnierzy podobna jest do opuszczonej stodoły, gdzie temperatura nie różni się od temperatury zewnętrznej. Przez dziurawy dach leje się brudna woda w jedzenie żołnierzy. W lokalu i na schodach panuje brud, szyby są tak brudne, że ledwie przepuszczają światło. Żołnierze skarżą się na brak naczyń i że herbatę podają w pogiętych kubkach, a rano niezawsze można ją otrzymać. Gdy jeden z żołnierzy skarżył się kierownikowi politycznemu, że ugotowano zupę z brudnej kapusty, ten zagroził mu aresztem. W jednej z formacyj w kijowskim okręgu wojskowym, gdzie komisarzem jest Ziemlanoj, żołnierze od 4-ch miesięcy ni myją się, gdyż brak jest umywalni.

Dziennik wzywa do położenia kresu temu stanowi rzeczy.

Marszałek Woroszyłow polecił przywrócić w formacjach wojskowych oraz w szkołach wojskowych komisje pomocy gospodarczej.

—oOo—

Sytuacja na froncie hiszpańskim — wg. komunikatu powstańczego

Na przyczółek mostowy pod Balaguer, oddziały galicjańskie zajęły miejscowości Soroig, Traguera, Lajana, San Mateo i Cervera del Maestre. Przeciwnik poniósł straty kilkuset zabitych i wielu jeńców. W ręce wojsk gen. Franco wpadła obfita zdobycz m. in. 4 działa przeciwpancerne, lazaret polowy, wiele motocyklów i innego materiału wojennego. Podczas walki powietrznej strącono 8 samolotów przeciwnika. Straty wojsk gen. Franco są nieznaczne.

Toruń Pat. Na szosie Toruń—Chełmza wydarzyła się katastrofa samochodowa. Komisja drogowa wydziału powiatowego, złożona z pięciu osób, jechała z Torunia taksówką, która wpadła na drzewo z powodu oderwania się koła. Poważnych obrażeń doznał dr. Stanisław Strzyżowski, adwokat z Chełmzy, którego przewieziono do szpitala w Toruniu. Pozostali pasażerowie m. in. burmistrz Chełmzy p. Barwicki odnieśli lekkie obrażenia.

Humor i fraszki

Poniższy dział satyry poświęcamy starym i nowym fraszkom, wybranym ze zbioru „Cztery wieki fraszki polskiej" J. Tuwima. Czytelnicy znajdą w nich zapewne odblaski dnia dzisiejszego.

*

Księgi, wiersze, dzienniki, płatni uwielbiacze
Pełno dzieł heroicznych, a jednak lud płacze.
(Ignacy Krasicki w. XVIII)

Nagrobek urzędnikowi

Wielka była polityka
Tego pana urzędnika
Nie dał zgorszenia nikomu,
Bo kradł zawsze pokryjomu.
(Alojzy Żółkowski w. XVIII)

Amnestia

Mówiono tułaczowi: Dobry czas się zdarza
Wyrobim ci amnestię u Rosji cesarza.
Ten rzekł: Dzięki, lecz kiedy ja przejdę do wroga,
Któż mnie wtenczas amnestię wyrobi u Boga?
(Antoni Górecki w. XIX)

Szubienica

Dawniej, jak powiadają nam nasi rodzice.
Gdy kto ukradł, wiedziono wnet na szubienicę;
Lecz dziś się tego trzymać nie można zwyczaju,
Boby bardzo ubyła ludność w naszym kraju!
(Antoni Górecki)

Na dziennikarza

Będę feudałem
Albo radykałem;
Kogo mam obrzucić błotem,
Pomówimy potem o tem;
Moje czoło jak miedziaczek,
Moje pióro jak wiatraczek
Na usługi swoje masz,
Tylko powiedz — co mi dasz?
(Al. hr Fredro w. XIX)

Nasz kraj

Dźwignąłby się o swej sile,
Bo z letargu kraj się budzi.
Gdyby tylko dziś nie tyle
Było u nas wielkich ludzi.
(A. hr. Fredro)

Patrioci

Ojczyzna żyje zawsze z tą jedną odmianą,
Że dawniej życie, mienie w ofierze dawano,
A teraz do Ojczyzny każdy sięga dłoń.
Od takich patriotów Panie Boże broń!
(A. hr. Fredro)

* * *

Czegośmy się doczekali,
Mój najmilszy kmotrze!
Dawniej wisiał łotr na krzyżu,
Dzisiaj krzyż na łotrze!
(Fraszki anonimowe 1800—1840)

Żyd i przechrzta

Już wolę żyda z brodą i pejsami,
Niż tego przechrztę, co chytrością węża
Fałszywych pereł strojąc się wieńcami
Nazwisko polskie hańbi lub splenięża.
(Krystyn Ostrowski w. XIX)

Przysłowie ludowe

Kto z panami nos swój mierzy
Tego dola bywa smutną:
Gdy ma krótszy to naciągną,
Jeśli dłuższy, to go utną.
(Fraszki anonimowe 1870—1900)

Sędzia i sędzina

Rzekł raz sędzia do sędziny:
Niemasz pani dobrej miny.
Na to ona do sędziego:
Niema z czego, niema z czego.
(Fraszki anonimowe 1870—1900)

* * *

Ledwie się zbyli Mocha,
Któremu bród lizali z nóg,
A już szukają nowych dróg,
Mizdrząc się do Bier-Molocha
Twierdząc, że nikt tak nie kocha
Nas, jak ten tysiącletni wróg.
(Adolf Nowaczyński)

—oOo—

Z MIŁOŚCI

— Fredziu, ożeniłeś się ze mną chyba nie dla pieniędzy?

— Cóż znowu? Nie sądzę zresztą, aby z twego posagu coś zostało po spłaceniu moich długów.

Rozmowa narzeczonych:

Córka dentysty pyta swego narzeczonego:

— No i cóż, oświadczyłeś się już ojcu o moją rękę?

— Nie mogłem, gdy przyszedłem do niego coś mnię ścisnęło za gardło nie dając mi ust otworzyć, więc ojciec twój pomógł mi. Posadził na fotelu, otwarł usta, wyrwał mi zęba i kazał usta płukać. Czy miałem kiedy czas powiedzieć?

— —§ O §— —

— Gdzież dźwigaż, aż dwa tak potężne melony?

A bo teściowa powiedziała, że za melon oddała pół życia, niosę jej więc dwie sztuki.

— —§ O §— —

Do gabinetu bankiera wpada prokurent:

— Panie prezesie kasjer uciekł!

Bankier chwyta za słuchawkę telefonu, łączy się z domem i pyta zgłaszającej się pokojówki:

— Czy pani jest?

— —§ O §— —

— Jak mógł zarobić?

— Bo ten, co go bił po pysku, to miał tylko cztery palce u ręki.

— —§ O §— —

— Niech zrozumie kto może, bo ja nie mogę tego pojąć — mówi kompozytor. Skomponowałem operetkę, w której wszystkie melodie sławnych kompozytorów operetkowych, mej własnych twórczości niema tam ani odrobimy. Ich wszystkich oklaskują, a mnie wraz z moją operetką wygwizdano.

—oOo—

Partia wista

W roku 1806 Napoleon zimował w Warszawie. Życzył sobie, jak zawsze, aby pomimo wyprawy wojennej urządzono wiele przyjęć i uroczystości.

Na pierwszym balu urządzonym przez Telyeranda odtańczył sam cesarz kontredansa z hr. Potocką, znaną z bystrości i piękności. Pośród tańca zagadnął ją nagle:

— „Jak się pani mój taniec podoba? Zdaje mi się, że pani się ze mnie śmieje".

W rzeczy samej, zdaniem współczesnych, cesarz tańczył bardzo niezręcznie. Ale hrabina odpowiedziała:

— Istotnie. Wasza Cesarska Mość, jak na tak wielkiego człowieka, tańczy pan doskonale.

Na jednym z następnych balów, który się zakończył partją wista, Napoleon zapragnął grać z hrabiną, w chwili kiedy ją sięgnięto karty, zwrócił się do niej cesarz:

— Jak drogo gramy?

— Och, Wasza Cesarska Wysokość, o miasto, o prowincję, o królestwo.

Napoleon uśmiechnął się i zapytał:

— A co będzie, jeżeli pani przegra?

— O, Wasza Królewska Mość rozporządza pełną kasą, mam nadzieję, że mnie wykupi.

Od tej pory hrabina Potocka stale przebywała w towarzystwie Napoleona.

—oOo—

— Dnia 20 kwietnia 1936 roku. Dzisiaj zaręczyłam się z Jankiem. Kochany chłopak

— Dnia 17 lipca 1936 roku. Mój ślub z Ludwikiem odbył się dzisiaj. Jestem strasznie szczęśliwa.

— Dnia 28 grudnia 1936 roku. Dzisiaj uzyskałam rozwód z Wiktorem, nareszcie jestem wolna. Iziu jest strasznie miły chłoptaś.

— —§ O §— —

O, widzę że szanowna pani czyta książkę traktującą o moralności.

— Cóż pan chce, przecież o wszystkiem trzeba mieć choć siakie takie wyobrażenie.

— —§ O §— —

Wiesz, Hela mówi, że jej twarz to cały jej majątek.

— Słusznie, i to tem cenniejszy, że zdobyty własnym dorobkiem.

— —§ O §— —

— Uch, ten Krongold to ma zawsze szczęście...

— Jakie znów szczęście? Dostał wczoraj po gębie to się mówi szczęście?

— Nu, właśnie, przecież zarobił na tym 20%.

Lekarz, zbrodniarz czy zboczeniec?

Tajemnica kliniki d=ra Seńa

W odległości nie całych dziesięciu kilometrów od Makassaru, stolicy Celebesu, wielkiej wyspy przy półwyspie Indyjskim, leżącej, wznosi się nad oceanem wspaniała klinika pewnego chińskiego lekarza, doktora Sen'a.

Dr. Sen od wielu, wielu już lat poświęca się badaniom trzech, gnębiących wyspę groźnych chorób: elefantiasis'u, choroby powodującej zgrubienia skóry i puchnięcie jej tkanek, trądu i amoku, rodzaju szału morderczego.

Dr. Sen na całej wyspie Celebes miał opinię dziwnego bardzo lekarza. Za jego pracę pełną samozaparcia gubernator miał go nawet podobno przedstawić do jakiegoś komandorskiego odznaczenia. I jeden był tylko człowiek który nie ufał Sen'owi. Był nim dr. Londjis, który trzydzieści lat temu, przybywszy do Indji, jako młody początkujący lekarz, obecnie pędził smutne życie, kończąc swe dni zdala od rodzinnago Roterdamu,

I oto pewnego dnia dr. Londjis spotkał w czasie swego codziennego spaceru pewnego starego Malajczyka, który mu powiedział, że dr. Sen zaangażował jego syna jako pomocnika.

Minęły dwa tygodnie. Dr. Londjis spotyka znów tego samego starca, który ma minę wyraźnie zasmuconego.

— Syn mój opuścił Celebes, bo dostał robotę na Sumatrze — począł się zwierzać z żalem. — Posadę tę znalazł dla niego dr. Sen jak to już robił dla wielu jego przyjaciół. I mój syn zachował się równie dziwnie; jak i jego poprzednicy. Wyjechał nie pożegnawszy się wcale. I to mnie martwi.

Dr. Londjis zaczął podejrzewać istnienie jakiegoś dramatu w tej całej historii. Podjął on na własną rękę obserwację kliniki dr. Sena. Po pewnym czasie ustalił, iż ten co dnia odbywa przechadzkę między 9 a 10 rano.

W towarzystwie syna jednego ze swych przyjaciół z Makassaru, Al Nyö, udał się on o godz. 9-ej minut 10 do kliniki Sena.

— Dr. Sena nie ma — grzecznie oznajmił asystent chiński. — Czy chce pan zaczekać?

— Tak — I obydwaj amatorzy detektywi usiedli.

— Proszę mi wybaczyc. Mam robotę — i z tymi słowy asystent Chińczyk usunął się bezszelestnie.

Loudyjis i Nyö skorzystali natychmiast z jego nieobecności. Przemocą dostali się do wnętrza kliniki. Trzy pokoje duże nie miały w sobie nic tajemniczego i tylko drzwi, wiodące do pokoju czwartego zamknięte były na bardzo skompikowane zamki. Po wielu próbach udało się i te drzwi otworzyć, niewprawnym amatorom-włamywaczom.

Od samego progu uderzył ich oczy straszliwy widok. Na czterech stołach operacyjnych ujrzeli cztery trupy młodych Malajczyków, pod stołami leżały dwa trupy następne. Dr. Londjis natychmiast dał znać o wydarzeniu policji.

A gdy dr. Sen, o niczym nie wiedząc spokojnie wracał do domu ze spaceru, przywitał go okrzyk: Nyö: „Ręce do góry"!

Gdy się dowiedział o wszystkim, nie stracił ani źdźbła spokoju:

— Szukam — powiedział — sposobu zwalczenia elefantiasis i amoku. Na tych młodych Malajczykach właśnie wypróbowywałem wynalezioną szczepionkę. I nie wiele brakło, bym mógł się przyczynić do wielkiego skoku w wiedzy medycznej.

W tym momencie nadeszła policja i dr. Sen, wyciągając ze spokojem z kieszeni jakąś pigułkę, połknął ją z okrzykiem: „Tym gorzej dla medycyny!" i padł na miejscu rażony jakąś straszliwą trucizną.

Z notatnika strasznego lekarza odczytano trzydzieści dwa nazwiska osób, którym szczepił śmiertelne szczepionki amoku i elefantiasis.

Tajemnicę swych prac zabrał ze sobą do grobu, ten nie wiadomo: lekarz, zbrodniarz, czy zboczeniec



W zimowej szacie

Samowolna podróż bociana

W małym miasteczku anatolijskim Adama zdarzyla się niecodzienna historia. Na plac pomiędzy bawiące sie dzieci spłynął z obłoków piękny bocian i nie tylko nie okazywał żadnej obawy, ale podszedł wolnym krokiem do jednego z dzieciaków i wyrwał mu z ręki kawal chleba.

Dzieci przerażone zmartwiały. Jeden z odważniejszych chlopców zauważył, że bocian ma na nodze złotą obrączkę. Zawiadomił czym prędzej swego ojca. Po zbadaniu okazało się, że bocian należy do jednego z instytutów ornitologicznych niemieckich.

Uciekiniera odstawiono prozacznie koleją z powrotem.

Nowy typ „torpedy"

Koleje francuskie demonstrowały w zeszłym tygodniu nowy typ wagonu motorowego, pędzonego gazoliną, pobieraną bezpośrednio z materiału drzewnego. (Motory tego rodzaju zastosowano od niedawna w autobusach miejskich warszawskich).

Nowy typ motoru gazolinowego odznacza się znacznie większą niż używane dotychczas, mocą (280 CV) oraz większą pojemnością (95 miejsc). Motor 12-cylindrowy pędzony jest węglem lub drzewem albo „geka", produktem karbonizacji starych progów kolejowych. Może przebiegać 500 km bez potrzeby nabierania paliwa.

Czynniki oficjalne francuskie przywiązują do nowego udoskonalenia niedawnego względnie wynalazku dużą uwagę ze względu na jego wielkie zalety, o ile chodzi o obronę narodową.

—oOo—

Rozmaitości

(p) **Ten miał cierpliwość!..** M. D. Brother 25-letni młodzieniec, mieszkaniec New Yorku, zakochał się w urodziwej miss Dorothy Mochmag, 22-letniej stenotypistce. Los chciał, iż miss Dorothy nie odpowiedziała uczuciem na uczucie. Aby przełamać niechęć miss Dorothy, M. Brother zarzucił swą wybraną listami. Przesyłał jej trzy, cztery, pięć listów dziennie. Całą tę korespondencję miss Mochmag wrzucała systematycznie do pieca i oddawała tęskne listy adoratora na pażarcie płomieniom. W ten sposób 11.000 listów zostało zniszczonych. Wreszcie zakochany poeta stracił cierpliwość. Do ostatniego listu dodał post scriptum: „Jeśli spotkam jeszcze raz panią w towarzystwie Ika, wybije mu fałszywe zęby, które ma z lewej strony". To poskutkowało. Miss Dorothy złożyła skargę. Sędzia zaś skazał zbyt gorącego adoratora na 2 tygodnie aresztu za groźby karalne.

(p) **Piorun sfilmowany.** Piorun spada z Nieprawdopodobna szybkość, piorunująca zaiste, została sprawdzona przy pomocy aparatów filmowych w ciągu dłuższej serii doświadczeń w New Yorku. Na dachach rozmaitych drapaczy chmur umieszczono aparaty filmowe, które zdejmowały każdą błyskawicę. Okazało się, przy tym, iż piorunochron na szczycie drapacza Empire State Building ściągał najwięcej chyba piorunów ze wszystkich gmachów, jakie istnieją na świecie. Stwierdzono, iż na chwilę przed uderzeniem piorunu wystrzelał z piorunochronu płomienisty język. Zrobiono setki takich zdjęć. Mierząc jednocześnie wysokość, na której znajdowały się w danej chwili chmury, zdołano wymierzyć szybkość, z jaką spada piorun. Jest ona olbrzymia, pozostaje przecież daleko w tyle za szybkością światła, które przebiega 300.000 km. na sekundę.

Bar piękności. Długi kontuar oszklony, wysokie, wyściełane stołki wzdłuż kontuara. Czy to bar amerykański, jeden z wielu w śródmieściu paryskim? Tak, to bar, ale panie przychodzą tu nie aby łyknąć „drink" tylko po to, aby na poczekaniu odświeżyć swoją twarzyczkę. Wynalazek ten, naturalnie rodem z Ameryki, został przyjęty z olbrzymim entuzjazmem przez paryżanki. Do czego służy ten bar? Poprawianie urody w miejscu publicznym (pudrowanie się, podkreślanie warg ołówkiem, nakładanie różu) jest nie tylko przestępstwem przeciw dobrym obyczajom, ale w rezultacie daje fatalne skutki: złe i pośpieszne „poprawianie" maquillage'u potrafi tylko oszpecić. A przecież zdarza się często, że po pracy chcemy pójść na wizytę, eż prosto z biura śpieszymy do teatru, że z teatru chcemy wejść do restauracji i szukamy okazji, żeby odświeżyć swą twarz. Wówczas wstępuje się do baru: tu dostaje się kasetę z wszystkimi przyborami, niezbędnymi do poprawienia maquillage'u. Można dokonać tego samej, można też skorzystać z pomocy kosmetyczki. Po 10 minutach opuszcza pani bar piękności „młoda, świeża, piękna", jak gdyby po długim wypoczynku wyszła dopiero co z domu. Wizyta w barze kosztuje wszystkiego kilka franków.

Gdzie popełnia się najwięcej zbrodni?

Nie w zaułkach przedmiejskich wielkich miast, nie w dżungli gangsterów chicagowskich, ale — w kinie! Tak mówi statystyka. Wśród tematów, które posłużyły w r. 1936 jako materiał do scenariuszy filmowych wyliczono: 310 morderstw, 104 kradzieże z włamaniem, 43 podpalenia, 405 zdrad małżeńskich, 182 wypadki złożenia fałszywych zeznań, 165 kradzieży zwykłych, 642 wypadki oszustw.

—oOo—

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: August Comber. Drukarnia „Literacka" w Krakowie, Pl. Zgody 4